

Wydanie siódme.

DRUGA KSIĄŻECZKA

HELENKI

przez autorkę „Pamiętki po dobrej matce”

WARSZAWA
Nakład Gebethnera i Wolffa

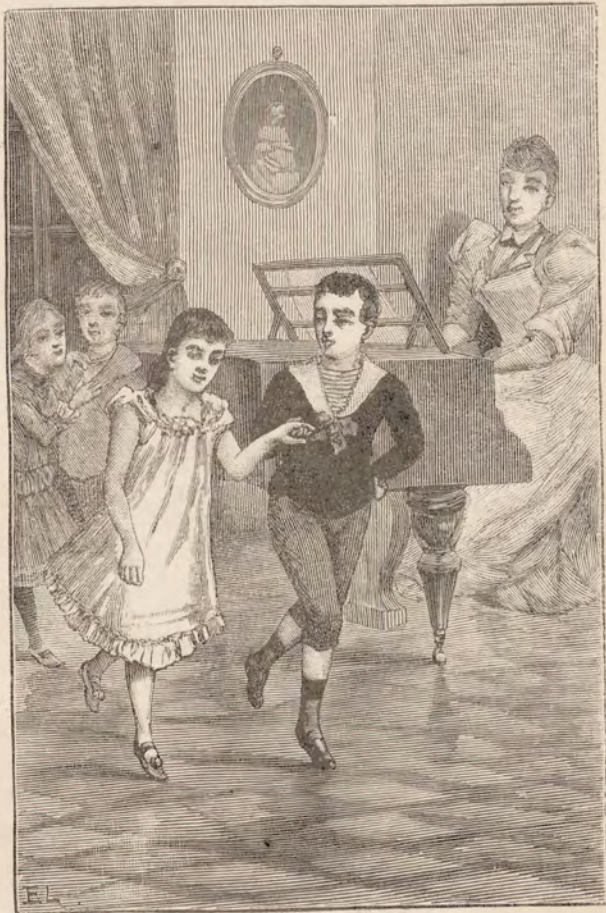
10005 MKD

1A 204

Marya Wasilkowska



DRUGA KSIĄŻECZKA HELENKI.



Tomuś rozpoczął z nią mazura.

DRUGA KSIĄŻECZKA HELENKI

POWIEŚCI

DŁA

DZIECI ZACZYNAJĄCYCH JUŻ CZYTAĆ GŁADKO

przez autorkę

PAMIĄTKI PO DOBREJ MATCE

Wydanie siódme

z 8 rycinami



WARSZAWA

Nakład Gebethnera i Wolffa.

[1894]

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Августа 1894 года.



№. инв. 314883/
80

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

DO HELENKI.

Podobno twoja Ciocia prędzej pi-
sze, niż Ty rośniesz; nie to nie szko-
dzi, przy Nieba pomocy, Ty wkrótce
jej pióro przegonisz; a gdy Ci lat kil-
ka przybędzie, już Ci ona potrzebnych
książek nastarczyć nie potrafi. Lepiej
zatem wcześniej na te lata choć małe
zbierać zapasy; masz więc dziś *Drugą*
Książeczkę; niech będzie nowym dowo-
dem przywiązania twojej Ciotki do
Ciebie i do Rodziców twoich, niech
Cię zabawić potrafi.

CZEŚĆ PIERWSZA

OSMNAŚCIE POWIEŚCI MNIEJSZYCH.

WSTĘP.

Helence kupił był raz Tata książeczkę z drobnymi powiastkami o Stasiu, o Antosi, i o różnych dzieciach; ale Helenka przeczytała tę książeczkę i byłaby chciała mieć drugą. Ciocia jej dowiedziawszy się o tem, i wiedząc, że Helenka bardzo była grzeczna, przyniosła jej ten Zbiór Powieści mniejszych i większych.

I.

DOBRE DZIECI.

Były pewne dzieci niezmiernie dobre, i miały bardzo dobrą Mamę. Kochały ją serdecznie, i tak jej były posłuszne, że jak ona jedno słowo powiedziała, słuchały jej od razu, nie sprzecząc się nigdy. Jednego dnia ta Matka zasłabła, i musiała położyć się w łóżko; kazała wszystkim dzieciom swoim przyjść do siebie, i tak do nich mówiła:

— Moje dzieci, ja jestem słaba, i zapewne długo chorować będę; potrzebuję wielkiej cichości i spoczynku; muszę leżeć, nie mogę więc ani was trzymać w moim pokoju, ani was oglądać. Wy jesteście jeszcze bardzo małe, jedna tylko Basia, która już ma lat jedenaście, radę sobie dać potrafi; wy zaś potrzebujecie koniecznie dozoru, i boję się bardzo, żeby się wam nie przytrafiło co złego, podczas mojej słabości.

— O! Mamo! — zawołały dzieci — my tak będziemy grzeczne i uważne, że nam się nic złego nie stanie,

— Wierzę temu—odpowiedziała Matka— że będziecie chciały być grzeczne, ale wy nie wiecie, jak to małe dzieci potrzebują starszych pilnowania i dozoru! jak łatwo błędzić mogą, jeżeli ich nikt nie przestrzeżga i nie napomina.

— I cóż mamy robić? — spytały się zasnucone dzieci.

— Oto, — odpowiedziała matka — Basia z was wszystkich jest najstarsza; ja wiem, że to rozsądna dziewczynka; ona was pilnować i przestrzeżgać będzie, ona będzie waszą Mamą, dopóki ja nie wyzdrowieję; ale trzeba żebyście jej słuchały we wszystkim, jak mnie słuchacie.

Dzieci obiecały to uczynić i dotrzymały przyrzeczenia; słuchały tak Basi, jak gdyby ona Mamą była; mówiły przy niej pacierz, czytały z nią, robotę robiły. Najwięcej ich przestrzeżgała, żeby się cicho sprawiały; bo bardzo szkodzi choremu, gdy mu dzieci krzyczą nad głową; one też bardzo na to uważały. Otwierały i zamykały drzwi cichuteńko; kiedy które przyszło do Matki pokoju, chodziło na palcach i wolnym

głosem mówiło. Nie robiły hałasu, bawiły się w gry spokojne, jednym słowem, bardzo były posłuszne i grzeczne. Nagrodził im też dobry Bóg postępowanie, bo Mama przyszła do zupełnego zdrowia, a przez cały czas jej słabości, nic im się nie stało złego.

II.

O B I A D.

Dwaj synowie bogatego Pana: Kostuś i Feliś, chodzili raz po Ojca ogrodzie, w którym kosił trawkę wyrobnik, a chłopczyk jego przetrząsał pokosy, żeby łatwiej siano wyschło. Podobała się ta robota dwóm braciom, i zaczęli pomagać chłopcykowi. Wtem wyszedł lokaj z pałacu, a stanawszy na schodkach, wołał z całych sił:

— Panicze! panicze! obiad na stole! niech panicze prędko przychodzą!

I Kostusiowi i Felisiowi bardzo się jeść chciało, nabiegali się dużo po ogrodzie i nad przetrząsaniem siana zmęczyli się też trochę. Z wielką więc radością usłyszeli wołanie lokaja, i już biegli ku pałacowi, kiedy przyszło im na myśl spytać się chłopczyka:

— Czy on nie pójdzie także do domu na obiad?

— Nie pójdę! — odpowiedział smutnie.

— A to dlaczego?

— Bo nie mam po co.

— Jakto?

— Matka dała mi rano kawał chleba i powiedziała: „naści chłopcze, już do wieczora nic więcej nie dostaniesz.”

— Czyś był niegrzeczny?

— O nie! ale Matka nic więcej w domu nie ma. Jeszczem nie dojadł całego kawałka; jak panicze pójdą, narwę sobie szczawiu i zjem z chlebem, pójdę do studni i napiję się wody i będzie obiad.

— Poczekaj, będziesz ty miał lepszy! — zawołał Kostuś i Feliś — ale nie odchodź stąd.

I poszli dwaj bracia i siedli do stołu.

Był to piątek; dano na stół wyborne piwo ze śmietaną, z serem i z chlebem; Kostuś i Feliś tylko po parę łyżek zjedli, i prosili Ojca, żeby im pozwolił zanieść resztę biednemu chłopcykowi, który przetrząsał siano w ogrodzie, a na obiad cały miał szczaw, wodę i kawałek chleba. Ojciec chętnie na to pozwolił: zleli więc na jeden talerz piwo, wzięli łyżkę i zanieśli chłopcykowi. Jakże

on zajadał smaczno! Dwóm braciom daleko było przyjemniej, niż gdyby sami jedli. Wrócili do stołu; z każdej potrawy, której im na talerz włożono, odłożyli po trochu dla chłopczyka, i zanieśli mu po obiedzie i pierogów i kaszki i jabłek smażonych.

Ale i chłopczyk ten był dobry, bo i piwa i potraw połowę dał Ojcu swemu, który trawę kosił, a pierogi wszystkie schował dla Matki.

III.

KANAREK.

Małej Maryni darował braciszek ślicznego kanarka: cały był żółty, w ogonku tylko miał parę czarnych piórek, i śpiewał bardzo pięknie. Marynia niezmiernie była z tego daru szczęśliwa i obchodzić się z nim umiała. Czyściła codzien klatkę ptaszka, posypywała ją świeżym piaskiem, myła pręciki, odmieniała wodę, dawała mu siemienia, sałaty, a nawet czasem jabłka i cukru. Aż miło było patrzeć na mieszkanie kanarka, on sam taki był wesoly, tak śpiewał! Ale Maryni zachciało się go wypuszczać; dotąd tylko raz albo dwa razy na dzień, brała go do ręki i pieściła się z nim, a chciała go mieć zawsze przy sobie; zaczęła mu więc otwierać klatkę i ptaszek latał po całym pokoju. W domu było wiele ludzi, nieustannie przechodzili, drzwi roztwierali, był i kot, mógł bardzo łatwo przypadek nieszczęśliwy się zdarzyć. Mówiła to wszystko Maryni jej mama:

— Zobaczysz—powtarzała jej codzien— że smutny koniec spotka twego Mimi; trzymaj go lepiej w klatce, on w niej się urodził i rad w niej mieszka; będziesz się długo mogła z nim cieszyć.

Marynia przecież słuchać nie chciała i codzien wypuszczała kanarka. Wtem, dnia jednego wypuściła go także, a sama siedząc w oknie, obrębiała sobie chusteczkę; Matka na nią zawołała z drugiego pokoju i ona porwała się jak najprędzej. Biegąc, następuje nogą na coś miękkiego; to chrupnęło i pisnęło. Marynia przelekniona patrzy na ziemię i widzi zgniecioną ptaszynę. Krzyknęła, zbladła, podniosła biednego kanarka, ale już było po wszystkim: sama go zabiła. Zobaczywszy to, zaczęła zanosić się od płaczu; na jej krzyki przybiegła przestraszona Matka. Nie łajała ona Maryni, ani mówiła jej: „A widzisz? czemuś mnie nie słuchała?” bo już dosyć Bóg Marynię ukarał; ale dziewczynka sama powtarzała płacząc:

— Oj! trzeba zawsze mamy słuchać w najmniejszej rzeczy, bo wszystko co mama mówi, to prawda.

IV.

JAK TO DOBRZE BYĆ DOBRĄ.

Monisia urodziła się czwartego maja, razem więc obchodzono w domu i jej Imieniny i jej urodziny, bo czwartego maja jest Świętej Moniki. Szósty rok kończyła, i była bardzo dobrą dziewczynką. Pobożna kochała Boga serdecznie, rano i wieczorem pacierz uważnie mówiła; zawsze pamiętała, że Bóg na nią patrzy; rodziców słuchała we wszystkim, co tylko jej kazali — robiła, uczyła się bardzo dobrze, była pracowita, z braciszkiem swoim Felisem i siostrzyczką Kasią nigdy się nie sprzeczała, owszem ustępowała im często; służącym nigdy się nie naprzykrzyła, dla gości była usłużna i grzeczna. Jakżeż tu było Monisi nie kochać, wszyscy ją też kochali serdecznie, i każdy rad był przyjemność jej sprawić.

— Kasiu! — powiedział raz Felis — czwartego maja nadchodzi, cóż ty Monisi dasz na Imieniny?



Jak to dobrze być dobrą.

— Już ja dawno o tem myślałam; wiem co jej dam, ale nie powiem, dowiesz się w sam dzień imienin.

— Kiedyś taka skryta — powiedział Feliś — to i ja ci nie powiem, jaki mam w myśli podarunek dla siostry.

— Mniejsza o to! — zawołała Kasia żartobliwie — ja nie jestem tak ciekawa jak ty.

— A przecież jesteś dziewczyna! rzadka rzecz: dziewczyna nieciekawa.

Kasia chciała polechtać braciszka za ten żarcik, ale on wymknął jej się tak zręcznie, i tak dobrze uciekł, że go dogonić nie mogła.

W kilka dni potem nadszedł czwarty maja. Monisia jeszcze spała, ale Feliś i Kasia od dawna wstali, i oboje w gabinecie Matki bardzo byli zajęci. Nad wielkim stołem zrobili coś nakształt altanki z zielonych gałęzi, powiązali je różowemi wstążkami, powtykali dużo kwiatów, a na stole rozłożyli podarunki. Feliś za swoje własne pieniądze kupił siostrze piękną książkę z obrazkami, Kasia uszyła śliczny niebieski szlafroczek dla jej lalki; Matka dała białą sukienkę perkalową z zakładkami, Ojciec fartuszek zielony i je-

dwabną chusteczkę. Służący, którzy niezmiernie dobra Monię kochali, złożyli się na kosz kwiatków, na ciasteczka i na pierniki, a Babunia przysłała jej prześliczny słomiany kapelucik. Wszystkie te rzeczy leżały przygotowane na stole, i brakło tylko Solenizantki, żeby się dziwiła i cieszyła podarunkami.

Nareszcie obudziła się Monisia, zmówiła pacierz i bona umyła ją i ubrała.

— Czy Feliś i Kasia już wstali?— spytała się.

— O, już wstali! — odpowiedziała bona.

— A gdzie są?

— Niech ich Monisia poszuka!

Monisia pobiegła; poszła do jadalnego, do bawialnego pokoju; ale nie zastała nikogo; nareszcie otworzyła drzwi do gabinetu, i tam wszystkich znalazła: Matkę, Ojca, brata, siostrę i służących. Zdziwiła się niezmiernie, a więcej jeszcze, gdy altankę zobaczyła.

— Winszujemy ci Monisiu! — krzyknęli Feliś i Kasia.

— Żyj długo, żyj szczęśliwa! — zawołali wszyscy, i całować ją zaczęli, a Monisi łzy zakreśliły się w oczach.

Rzuciła się w objęcia Ojcu i Matce. Ojciec podniósł ją w górę, przycisnął do serca i powiedział:

— Niech cię Bóg chowa na chwałę swoją i pociechę naszą.

To samo uczyniła Matka; wzięła Monię na kolana, uściskała serdecznie i rzekła:

— Kochane dziecię; niech ci Bóg dopomaga; bądź zawsze tak dobrą, jak teraz jesteś!

Monisia nie odpowiedzieć nie mogła, tylko ścisła Ojca i Matkę, i zaczęła oglądać śliczne podarunki leżące na stole. Wszystko jej się podobało, wszystko ją ucieszyło; skoro się dowiedziała od kogo rzecz każda, dziękowała każdemu z osobna serdecznie, a Felisowi i Kasi najwięcej, bo oni tyle sobie pracy zadali.

Na śniadanie podano kawę, Monisia wyczęstowała ciasteczka; Matka kazała ugotować na obiad: budyń, szparagi, kurczęta ze śmietaną. Po obiedzie przyszło kilka przyjaciółek Monisi, podwieczorek był doskonały: jabłka, pomarańcze, bułki z konfiturami. Po podwieczorku poszły dzieci do ogródka, bawiły się w różne gry, goniły za moty-

lami, zrywały kwiatki, a Monisia była szczęśliwa i wesoła. Tego dnia tak przyjemnego długo zapomnieć nie mogła. Życzenia Matki, żeby jej córka zawsze dobra była, spełniły się. Monisia rosła zdrowo, i starała się być codzien lepszą. Całe też życie wszyscy ją kochali, i ona zawsze szczęśliwa była; a ktokolwiek ją poznał, zawsze mówił: *O! jak to dobrze być dobrą!*

V.
K O S T U Ś.

Jedni państwo mieli jedynaka syna Kostusia; był to grzeczny, pracowity, wesoły i zdrowy jak ryba chłopczyk. Wstawał rano, a zawsze coś robił: to się uczył, to Matce pomagał, to z Ojcem chodził w pole, i bardzo go wszyscy kochali. Jego rodzice mieszkali na wsi, i nie byli bogaci.

Właśnie kiedy Kostuś zaczął szósty rok, przyjechała do nich bardzo bogata krewna, a widząc, że chłopczyk jest zawsze wesołym i grzecznym, prosiła bardzo Rodziców Kostusia, żeby mógł czas jakiś przy niej zabawić. Nie śmieli jej odmówić, i Kostuś pojechał z ciotką.

Z początku podróży niezmiernie płakał; bo mu żal było odjeżdżać od Ojca, od Matki, od domu, od kurezątek, którym jeść dawał, od ogródka, w którym sadił groch, ogórki i kwiatki; ale nareszcie przestał płakać. Kiedy przyjechał do Warszawy, bawiło go mnóstwo ludzi, domów, powozów, które

z okien widział, i zapominał o wsi i o Rodzicach. Ciotka też robiła co mogła, żeby mu u niej dobrze było: nakupiła mu różnych zabawek, dawała czego tylko zażądał, pozwoliła robić co chciał, nie strofowała o nic, nie uczyła wcale, i od rana do wieczora, karmiła go ciasteczkami, konfiturami i cukierkami. Jednak, rzecz dziwna! Kostuś nie był ani przez połowę taki wesoły, taki zdrowy, jak w domu bez zabawek, przy nauce, przy czarnym chlebie i upominaniu Rodziców; bo oni zawsze go strofowali, skoro tylko co złego zrobił, i nie dawali nigdy czego się napierał. Chociaż w Warszawie daleko dłużej spał niż w domu, chociaż tyle miał zabawek, przecież prawie zawsze się nudził, ziewał, chodził z kąta w kąt, i nieraz się zdarzało, że wśród dnia na kanapie usnął. Pomimo tylu wybornych przysmaków, zupełnie apetyt stracił; żołądek go bolał, nudziło go i już mu nawet cukierki nie smakowały. W domu prawie nigdy nie płakał, u Ciotki codzień; bo chociaż dawała mu wszystko czego chciał, nie mogła często dogodzić jego dziwacznym żądaniom; słowem, w przeciągu miesiąca, z owego grzecznego, wesołego,

zdrowego chłopczyka, zrobił się rozgrymaszony, mazgaj chorowity. Nikt w domu Ciotki go nie kochał, jej samej już się cokolwiek przykrzyć zaczynał, i wszyscy służący mówili między sobą:

— Miała też Pani co ze wsi przywozić, takiego nieznośnego chłopca!

Wtem przyjechał do Warszawy ojciec Kostusia. Ledwie poznał syna, tak bardzo zmizerniał i zesmutniał, a co gorsza tak się popsuł. Zobaczywszy go, prosił ciotkę żeby się nie gniewała, iż go zabierze ze sobą na powrót do domu. Ciotce trochę żal było, ale zezwoliła. Kostuś płakał bardzo, gdy od niej odjeżdżał, ale gorzej jeszcze płakał wróciwszy do domu. Matka zaraz nazajutrz kazała mu wstać rano, uczyć się, robić, a on się tak rozbałamucił, że mu się niczego nie chciało. Nie smakowało mu mleko na śniadanie, czarny chleb rzucił o ziemię, tylko wołał żeby mu dali kawy i sucharków. Gdy dano obiad, krzywił się na barszcz, a kartofle ze słoniną i pieczeń wołowa odrażały go, i nie chciały przejść przez gardło. Prawie nic przez cały dzień nie jadł i nie robił, tylko kwilił, płakał i naprzy-

krzał. Zgryzła się bardzo matka, ale ojciec powiedział:

— Nie martw się, ja jutro wezmę Kostusia w opiekę, i zobaczysz, że go z tej choroby ulecze; wreszcie jeśliby ciągle tak był marudny i nieznośny, użyję *wiadomego lekarstwa*, a pewno do dawnego zdrowia powróci.

Kostuś usłyszawszy te słowa, przeląkł się, i długo bardzo usnąć nie mógł; twardo mu też było na sienniku, bo u ciotki przyzwyczaił się spać na piernacie. Nareszcie usnął. Nazajutrz rano budzi go ojciec o godzinie szóstej; Kostusowi bardzo się wstać nie chciało, lecz bał się ojca, podniósł się i ubrał natychmiast, i rażno mu się zrobiło. Ojciec poszedł w pole, wziął go z sobą; czas był piękny, mnóstwo bławatków i maków rosło w zbożu, Kostuś biegał za nimi i zbierał ładny bukiet, a że przez cały dzień wczorajszy prawie nie jadł, bardzo mu się jeść chciało, i powiedział to ojcu.

— Mam ci ja tu—rzekł ojciec—kawałek chleba, ale cóż, rzucisz go o ziemię, bo czarny i kwaśny!



Ojciec wziął go z sobą w pole;

— O nie, tato! nie rzucę, zjem, bo mi się bardzo jeść chce, proszę tatkę o ten chleb.

Dał mu ojciec mały kawałek, i nigdy biszkopt w Warszawie tak mu nie smakował: okruszynki jednej nie zostawił, a wróciwszy do domu, zjadł drugi kawałek z równym smakiem, i wypił szklanę mleka. Po śniadaniu ojciec go zawołał, żeby z nim czytał i pisał; szło to jakoś niesporo z początku, ale ojciec surowo spojrzał, *lekarstwem* zastraszył, i godzina jak nie na nauce zesła. Po leceyi zaprowadził Kostusia do jego ogródka.

— Patrz no! — powiedział, — jak twój groch, twoje kartofle i kwiatki zarosły, wypiel złe zielsko, bo nic mieć nie będziesz.

Kostuś wziął się do roboty i bardzo się zdziwił, gdy go nie długo na obiad zawołano; już było południe, a on nic o tem nie wiedział; nie ziewnął ani razu, nie znudził się i momentu. Smakował mu bardzo obiad, chociaż był tylko krupnik, sztuka mięsa i kapusta; a po obiedzie, także przy robocie, jak najprzyjemniej doczekał się podwieczorku, przechadzki i wieczerzy. Kiedy już miał iść spać, i do pacierza się

zabierał, ojciec wziął go na kolana, i spytał go się:

— A cóż, czy lepiej ci było dziś, czy wczoraj?

— O, lepiej dziś, tato!

— A dlaczego?

— Nie wiem.

— To ja ci powiem! Oto dlatego, żeś wstał rano, żeś się uczył, żeś pracował, żeś same zdrowe jadł rzeczy; bo pieszczoty i próżniactwo są bardzo szkodliwe dla dzieci. Zapomnij więc, mój Kostusiu, o warszawskich przysmaczkach, o lenistwie, i od-tąd wróć się zupełnie do dawnej pracy i prostoty; będziesz i zdrów i wesół, i Bóg i ludzie kochać cię będą, i ty sam będziesz kontent z siebie. Poczciwa ciotka nigdy dzieci przy sobie nie miała, nie wie zatem jak się z niemi obchodzić; nie wie, że jak cukierki i łakotki żołądek dziecka psują, tak pieszczoty i pobłażanie psują jego serce i wesołość niszczą.

Kostuś uważał sobie dobrze te słowa ojca, chciał nad niemi myśleć położywszy się, ale nie miał czasu, bo, strudzony przechadzką i pracą usnął natychmiast, skoro tylko głowę

do poduszki przytknął; nazajutrz i następnych dni myślał wciąż o tem, co mu ojciec powiadał; i był znowu grzecznym, pracowitym, wesołym i zdrowym jak ryba chłopczykiem.

VI.
POSŁUSZEŃSTWO.

Emilka i Józio, były bardzo grzeczne dzieci, i wiele miały na swój wiek rozsądku.

— Mama i Tata—mówiła nieraz Emilka do Józia—kochają nas więcej, niżli wszyscy ludzie na świecie; my ich też zaraz po Bogu kochać powinniśmy.

— I nikt na całym świecie tak nam dobrze nie życzy jak oni — odpowiedział Józio, — trzeba więc zawsze im wierzyć i słuchać we wszystkim. Oni daleko starsi od nas, daleko więcej rzeczy znają, wiedzą lepiej niż my co dla nas dobrego, słuchajmy ich więc zawsze i róbmy to wszystko, co nam każą.

I w rzeczy samej Emilka i Józio tak byli rodzicom posłuszni, że inni rodzice stawiali je swoim dziatkom jako wzór posłuszeństwa. Chociaż im tata lub mama kazali zrobić rzecz, która im nie była bardzo przyjemna, nie odpowiedzieli i słowa; i bez żadnego

skrzywienia się, dąsania, mruczenia pod nosem, dopełniali woli rodziców. Wśród gry najweselszej, jeżeli matka albo ojciec zawołali na nich, biegli natychmiast. Choćby największą ochotę mieli gdzie pójść, albo czem się zabawić, jeżeli tylko rodzice nie pozwolili, zaraz swój zamiar zmieniali.

Jednego dnia po obiedzie, rodzice Józia i Emilki pojechali w sąsiedztwo odwiedzić chorego przyjaciela; dzieci zostały w domu pod dozorem sędziwej kobiety, Petroneli. Matka zostawiła im w kredensie po kawałku chleba i po dwie gruszki na podwieczorek, a u siebie w pokoju postawiła koszyk prześlicznych gruszek, mówiąc:

— Tych gruszek nie ruszajcie moje dziatki, bo przeznaczyłam je dla gości mających jutro przyjechać do nas. A pamiętajcie słuchać we wszystkim Petroneli, bo ona dziś moje miejsce zastępuje.

Dzieci obiecały być posłuszne, pożegnały się z rodzicami, prosiły żeby pozdrowić od nich dzieci chorego pana, i patrzyły za pówozem, póki tylko dostrzedz go mogły. Gdy już znikł im z oczu, Józio powiedział siostrze:

— Teraz się bawmy! co myślisz? mnie się zdaje, że najlepiej pójść do ogrodu.

— Zapewne! — odpowiedziała Emilka — pójdźmy.

— Nie pójdziecie jeszcze teraz; — rzekła na to Petronela — wiem, że się uczyć macie, a zawsze trzeba pierwej o nauce niżli o zabawie myśleć.

Józio i Emilka spojrzeli na siebie, a ich oczy wyrażały: Petronela dobrze mówi.

— Weźmy się do nauki — powiedział Józio, — my się wnet uwiniemy.

I wzięło każde z nich swoją książkę, usiedli w kąciku, myśleli tylko o lekcji, i w pół godziny już ją umieli wybornie. Emilka przesłuchała Józia, Józio Emilkę, i ani razu się nie zmylili.

— Wszak teraz możemy iść do ogrodu, ja się tak będę huśtała! — powiedział Józio.

— O! co na to nie pozwolę! — zawołała Petronela.

— Dlaczego? wszak co dzień przy tacie huśtamy się, — odpowiedziały dzieci.

— Przy tacie to co innego, ale bez niego nie można.

Zmartwiły się dzieci, gdyż bardzo tę zabawę lubiły, przecież nie skrzywiły się, ani oburknęły.

— Ale do ogrodu iść możemy? — spytał się jeszcze raz Józio — po całym będziemy biegać.

— Możecie iść — odpowiedziała Petronela — ale to bieda, że ja z wami pójść nie mogę; mam pilną robotę, którą skończyć koniecznie muszę, nie wiem, jak to będzie?

— To niech Petronela siedzi w oknie z robotą — powiedział Józio — a my tylko na łączce pod oknami bawić się będziemy; nie pójdziemy dalej.

I w samej rzeczy poszły dzieci, i tylko na łączce się bawiły; grały w piłkę, zrywały kwiatki, plotły wieńce ze stokrotek i goniły się. W godzinę zawołała ich Petronela, i natychmiast poszły do pokoju.

— Podobno już dosyć tej zabawy — rzekła do nich — trzebaby coś robić.

Dzieci miały wielką ochotę wrócić do ogrodu, jeszcze nie skończyły pleść wieńców; jednak Józio wziął swój zeszyt do liniowania, Emilka pończoszkę, i pilnie pracowali. Wtem piąta wybiła.

— A! to czas na podwieczorek!—zawołał Józio.

— Mnie się też bardzo jeść chce! — powiedziała Emilka: — jak nam będą gruszki smakować!

Nie smakowały przecież, bo ich dzieci nie jadły. Kredencarz zamknął kredens, wziął klucz, i poszedł za interesem do drugiej wsi. Matka zabrała ze sobą klucze od spiżarni; w ogrodzie dojrzałych gruszek nie było. Petronela miała swój chleb; dała po kawałku dzieciom, ale im gruszek bardzo żal było.

— Są gruszki w koszyku — powiedziała Emilka, — ale...

— Możeby można wziąć choć po jednej! — dodał Józio — mama wybaczy.

— Nie wiem — rzekła na to Petronela, — pani ruszać ich nie kazała; jednak sędzę, że się gniewać nie będzie, gdy jej wszystko opowiemy.

Emilka z Józkiem postawili koszyk na stole, już brali po jednej gruszce, kiedy jakiś tajemny głos powiedział im w duszy: „Ej! nie bierzcie!” i obojgu opadły ręce.

— Lepiej nie jedzmy!—zawołał Józio.— Mama wyraźnie nie kazała ruszać tych gruszek.

— Zapewne — dodała Emilka; — lepiej umartwić się trochę, niż pierwszy raz w życiu być nieposłusznymi.

Pochwaliła ich Petronela, i obiecała, że skoro robotę skończy, pójdzie z nimi na gościniec naprzeciwko Taty i Mamy. I poszła. Nie uszli pięciuset kroków, kiedy spostrzegli powóz Rodziców. Dzieci zaczęły biedz z całych sił. Petronela ledwie im nadażyć mogła. Dobiegły do powozu rodziców; ci stanęli, wysiedli, uściskali ich, i spytali się zaraz Petroneli:

— Czy dzieci były posłuszne?

Petronela opowiedziała im wszystko, a Rodzice ucieszyli się.

— Kiedy tak byliście grzeczne — powiedziała Matka — macież nie tylko gruszki ale i ciasteczka, które wam dzieci naszego sąsiada przysyłają.

I dała im po dwie gruszki i po ciasteczku. Dzieciom smakował niezmiernie ten podwieczorek, tem bardziej, że im przypominał ich posłuszeństwo.

VII.

NIEPOSŁUSZEŃSTWO.

Ale nie wszystkie dzieci są takie posłuszne jak Emilka i Józio; jest bardzo wiele nieposłusznych, i te bardzo źle na tem wychodzą.

Tak się przytrafiło małej Franusi. Miała ona swoje przymioty: była pracowita, pilna w nauce, usłużna, ale cóż? kiedy nikogo słuchać nie chciała. Często Matka kilka razy ją przestrzegała, żeby tego nie ruszała, tego nie robiła, a ona zawsze na swoim postawić chciała. Czyniła tak przez upór, i przez to, że sobie wystawiła: iż w wielu rzeczach więcej ma od starszych rozumu. O! jakże niemądrą była Franusia!

— Franusiu!—mówiła jej często Matka—posłuchaj tylko tego co ci powiem. Wiesz jaka jesteś maleńka, a jaka ja duża; dopiero pięć lat żyjesz na świecie, a ja już dwadzieścia kilka. Któraż z nas może mieć więcej rozumu? Jakże to Bóg przykazuje? czy też dzie-



Nieposłuszeństwo.

ciom słuchać Rodziców? Nie powinnaś nawet pytać się nigdy, dlaczego ja tobie to robić każe, a tego zakazuję, boś jeszcze zbyt mała, i nie możesz wiedzieć przyczyny każdej rzeczy; ale powinnaś słuchać od razu i być pewną, że wszystko co starsi mówią, jest dla twego dobra. Bóg nie kocha dzieci nieposłusznych, i często nawet bardzo ich karze.

Franusia słuchała zawsze uważnie słów Mamy, obiecywała poprawę, spłakała się, a po chwili znowu była nieposłuszną.

Nareszcie ukarał ją Bóg, przytrafiło jej się wielkie nieszczęście.

Franusia miała taki zły zwyczaj, że chodziła po kanapach i stolkach i opierała się z całych sił na stołach. Matka zawsze ją ostrzegała, że kiedykolwiek spadnie z kanapy albo ze stolka i stół który przewróci. Ale Franusia nie zważała nigdy na słowa Matki, i raz, kiedy nikogo w pokoju nie było, zapomniawszy, że Bóg jest wszędzie i zawsze, Bóg który wszystko widzi, wlaźła na kanapę, i oparła się z całych sił na okrągłym stole przed kanapą będącym. Stała na nim duża lampa; stół się przeważył, lampa się

przewróciła; Franusia zleciała z kanapy na ziemię i tak mocno bok stłukła i w głowę się uderzyła, że w momencie krwią się zalała i zemdląła. Matka usłyszała łoskot z trzeciego pokoju i przybiegła. O! jakże się złąkla! Franusia krwią zboczona leżała bez duszy na ziemi, kawałki potrzaskanej lampy dowodem były jej nieposłuszeństwa, przez które sprowadziła na siebie to nieszczęście. Porwała ją matka, zaczęła wołać o ratunek, zbiegli się służący, poszli po doktora. Skoro ten przyjechał, Franusia przychodzić do siebie zaczęła, ale z wielkim płaczem i krzykiem, bo ją głowa i bok nadzwyczajnie bolały. Gorszy jeszcze był krzyk i ból, gdy jej doktor zalał rany mocnem lekarstwem, a nogę naciągał; aż na ulicy słychać było, jak krzyczała. I nie skończyło się na tym jednym razie; Franusia bardzo długo cierpiała. Nieraz w nocy, kiedy wszyscy koło niej spali, a ona jedna dla wielkiego bólu oka zmrużyć nie mogła, myślała sobie: O! jak to źle mamy nie słuchać, jakże to Bóg karze nieposłuszne dzieci!

— O Boże! — mówiła, składając swoje ręczki — dobry Boże, przebacz mi to, com

uczyniła, pozwól niech wyzdrowieję, a odtąd już zawsze Mamy, Taty i starszych słuchać będę. — I to mówiąc gorzko płakała.

Franusia tak serdecznie i tak często tę modlitwę powtarzała, tak bardzo żałowała swego nieposłuszeństwa, i tak szczerze chciała się poprawić, że Bóg który niezmiernie dzieci kocha, i tym, którzy z całego serca żałują, największe winy przebacza, darował jej i wysłuchał tej modlitwy. Franusia zupełnie wyzdrowiała: rany się zgoiły, bok przestał boleć. Od tego czasu w najmniejszej jak w największej rzeczy posłuszną Mamie, Tacie i starszym była, i dobrze jej się działo.

VIII.

KSIĄŻKA Z OBRAZKAMI.

— Moja Maryniu! pożycz-że mi swojej książki z obrazkami, napatrzeć jej się nie mogę taka prześliczna, a chciałabym ją pokazać mojej siostrze i braciszkom.

— Z duszy i z serca—odpowiedziała małej Józii usłużna Marynia— weź ją z sobą do domu, ale proszę cię, nie powalaj, i oddaj mi ją pojutrze. Dostałam ją od Dziadunia i tak ją lubię, że wolałabym stracić wszystkie moje zabawki, niż gdyby się uszkodziła!

— O! ja jej nie uszkodzę!—zawołała Józia; wzięła książkę, uściskała Marynię i poszła ze służącą do domu.

Ledwie we drzwi weszła, zaczęła wołać na siostrę i na braciszków, żeby do niej przyszli, bo im coś prześlicznego pokaże.

Przybiegli wszyscy, nawet dwuletni Staś. Józia im pokazała po kolei obrazki i o każdym coś zabawnego powiedziała. Gdy już

wszystkie obejrzone zostały, Józia zamknęła książkę, ale zamiast ją dobrze schować do szuflady, albo do szafki jakiej, porzuciła ją na kanapie; bo Józia bardzo była niedbała i nieporządna: ani o swoich, ani o cudzych rzeczach żadnego nie miała starania, i już wiele z tej przyczyny szkody i przykrości doznała.

Mały Staś, psotnik wielki, zobaczywszy książkę leżącą na kanapie, widząc, że niktogo w pokoju nie było, wziął ją, powalał, wydarł kilka obrazków, i pod piec wrzucił. Józia, czem innem zajęta, zapomniała zupełnie o książce; dopiero trzeciego dnia, kiedy już odnieść ją trzeba było Maryni, przypomniała sobie o niej, i zaczęła szukać po całym domu. Zmartwiona szukała całą godzinę po całym mieszkaniu: pod kanapą, na szafach, na stolikach, wszędzie; nareszcie przyszło jej na myśl pod piec zajrzeć. Znalazła książkę, ale w jakim stanie? powalana, podarta! złąkała się niezmiernie, rozplakała, lecz cóż? trzeba było odnieść i taką. Z wielką nieśmiałością i strachem poszła do Maryni i ze łzami w oczach dobyte z woreczka książkę. Marynia, obaczywszy ją tak powalaną i po-

darta, zmartwiła się mocno; widząc że Józci, nic jej nie powiedziała, ale od płaczu wstrzymać się nie mogła; bo tę książkę dostała od Dziadunia i droższą jej była od wszystkich zabawek. To milezenie dobrej Maryni, że jej łzy tak były przykre Józci, że postanowiła być odtąd porządną i dbałą, ażeby nikomu podobnej przykrości nie zrobić. I dotrzymała słowa. Marynia zaś miała książkę podartą i powalaną, ale za to prawdziwej doznała pociechy, bo przyjaciółkę dobrą o nią swoją uleczyła z bardzo brzydkiej wady.

IX.

S M U T E K.

Oleś i Franusia były to bliźnięta; kochały się serdecznie, Bogu, rodzicom umiały być wdzięczne, zdrowo i wesoło rosły. Już siódmy rok skończyły, a żadne z nich nie wiedziało co smutek, kłopoty i troski. Jak czysty strumyk, w pięknej olszynie swobodnie płynący, tak ich życie płynęło. Nie raz, nauczywszy się dobrze zadanych lekcji, zrobiwszy naznaczoną robotę, biegały sobie po ogrodzie, a rwąc kwiatki i goniąc motylki, pytały siebie nawzajem:

— Co to znaczy smutek, kłopoty i troski, o których Mama z Tata tak często mówią?

Ale i na nich przyszła ta kolej: dowiedzieli się co to jest smutek.

Ojciec ich miał ukochanego przyjaciela, który rozechorował się śmiertelnie, i pragnął go widzieć przed zgonem. Pojechał więc

jak najprędzej Ojciec Olesia i Frani, usłyszał ostatnią wolę przyjaciela, pożegnał się z nim, trzymał głowę jego na rękach swoich, kiedy on Bogu duszę oddawał, ale zaraz się od niego zgnęła gorączka, i przyjechawszy do domu, sam musiał położyć się do łóżka. Im szczęśliwsi byli dotąd Oleś i Frania, tem mocniej ten pierwszy smutek uczeni; a co im było najprzykrzejszego: sam Ojciec zakazał, żeby do jego pokoju nie przychodzili, bo choroba była bardzo zaraźliwa. O! jakże Oleś z Franusią serdecznie płakali! jak często chodzili pod drzwi pokoju Ojca, żeby choć głos jego usłyszeć; jak się doktora i wszystkich pytali:

— A cóż? jak się ma Tata?

Jak szczerze modlili się do Boga o jego zdrowie! a kiedy już im powiedziano, że bardzo jest źle, że najpewniej tej nocy nie przeżyje—jakże serdecznie Matki prosili żeby im pozwoliła raz jeszcze Tatę zobaczyć, choć w rękę pocałować! ale Mama nie pozwoliła.

Było to już późno wieczorem; dzieci zapłakane położyły się, lecz nie dobrze spały,

zrywały się przez sen, i bardzo rano się obudziły. Pierwsze ich słowa były:

— O Boże! Boże! jak się też Tata miewa?

Wstały, i wybiegając z pokoju, postrzegają Matkę, która na nich z daleka wołała:

— Dzieci! dzieci! dziękujcie Bogu, Tata żyje, Tata zdrowszy!

O jakaż to była radość! jakże dzieci szczerze dziękowały Bogu! Od tego dnia Ojciec Olesia i Frani codzien miał się lepiej; nareszcie w krótkim czasie, gdy już zupełnie zaraza minęła, pozwolił doktor wejść do jego pokoju. O! jakże się ucieszyły dzieci, gdy po tylu dniach niewidzenia Ojca, zobaczyły go znowu siedzącego w krześle, kiedy znowu ucałowały jego rękę, a on je uściaskał i powiedział:

— Dobrze, kochane moje dziateczki!

Wszystko co ucierpiały, wszystko im się nagrodziło; wnet wróciły do dawnej weselości i swobody, bo i Ojciec wnet do dawnego zdrowia powrócił. Ale od tego czasu już się nie pytały ani siebie ani nikogo,—co to jest smutek? bo go poznały.

X.

ANIELKA.

Wszyscy zwali małą Anielkę prawdziwym Aniołkiem, i słusznie tak ją zwali, bo Anielka była przyjemna, słodka, łagodna dziewczynka. Nigdy się z nikim nie kłóciła, nigdy na nikogo nie skarżyła, owszem, każdemu ustępowała, i byłaby chciała, żeby wszyscy w zgodzie z sobą żyli. Wszyscy ją też w domu serdecznie kochali, i ona zawsze wesołą i szczęśliwą była. Ale zdawało się, że najbardziej ją kochał młodszy jej braciszek, Kazio, był to żywy i gniewliwy chłopczyk. O najmniejszą rzecz kłócić i sprzeczać się lubił, nie każdemu ustąpił, i bardzo często sierdził się i dąsał. Z jedną tylko Anielką nie prowadził wojny, owszem, miał dla niej pewne uszanowanie; bo ona mu zawsze ze słodyczą odpowiadała, i obchodziła się z nim rozsądnie i łagodnie.

Rodzice Anielki i Kazia mieli więcej dzieci, mieli także wychowawca, który

w jednym wieku był z Kaziem. Kochał go Kazio serdecznie, ale bardzo często się z nim kłócił, gdyż i Florus dosyć był żywy.

Jednego dnia, kiedy Anielka siedziała sobie nad pończoszką, przyszedł do niej Kazio czerwony, zaperzony, i zaczął się skarżyć na Florusia.

— Chciałem grać z nim w piłkę — mówił z marsem na czole — a on nie chciał iść ze mną; powiedziałem mu też, że go nie cierpię, i żem się rozgniewał na niego na wieki!

— Kazieczku! — powiedziała łagodnie Anielka — jakże można o tak małą rzecz rozgniewać się na przyjaciela! zapewne Florus nie miał czasu iść z tobą.

— Gdzie tam nie miał czasu, nie chciał! on mi tak zawsze na złość robi!

— A pamiętasz — mówiła Anielka — jak on właśnie wczora przestał bawić się ze mną, żeby z tobą grać w warcaby? pamiętasz jak cię pilnował, kiedyś był chory na odrę? przez cały tydzień z twego pokoju prawie nie wyszedł.

— Prawda, Floruś ma dobre serce, ja wiem, że on mnie kocha, ale cóż z tego, kiedy czasem taki nieznośny.

— A choćby też czasem był takim, i nie chciał zrobić tego co ty chcesz, i nie był zupełnie grzecznym, wszak to i mnie i tobie, braciszku, nieraz się przytrafi; i my nie zawsze jesteśmy grzeczni.

— Wielka prawda, że ja czasem bywam nieznośny, ale ty Anielko, podobno jeszcze nigdy niegrzeczną nie byłaś! Nie znam lepszej dziewczynki od ciebie!

— To mnie bardzo kochasz?—powiedziała z miłym uśmiechem Anielka, i patrząc się braciszкови w oczy.

— O, bardzo! — zawołał Kazio, i rzucił się jej na szyję.

— Kiedy tak, to pogódź się z Floruśm.

Floruś właśnie, skończywszy swoje zatrudnienie, szukał Anielki i chciał się przed nią na Kazia poskarżyć, kiedy ich spotrządził razem. Zmarszczył jeszcze bardziej czoło, i chciał ich ominąć.

— O nie! nie! tak być nie może — zawołała Anielka — wszak i ty mnie kochasz,

Florusiu? tak jak Kazio! wszak prawda? pogódźcie się więc dla mojej miłości! mnie tak serce boli, kiedy wy się różnicie.

Anielka powiedziała te słowa tak przyjemnym głosem, Kazio i Floruś tak ją kochali i tak bali się jej zmartwić, że obaj razem roztworzyli ręce, i uściskali się serdecznie.

— Zgoda! na zawsze zgoda! — zawołała Anielka, a oni szczerze za nią powtarzali:

— Zgoda! na zawsze zgoda! — i wszyscy trzej poszli bawić się w piłkę.

Tegoż samego wieczora, stary lokaj darował każdemu z chłopczyków po ślicznym gołąbku; nazajutrz rano obudziwszy się, Anielka zobaczyła ptaszki przy swoim łóżeczku; a u ich szyi na niebieskiej wstążeczce wisiała kartka z takim napisem:

„Kazio i Floruś ofiarują najłagodniejszej dziewczynce, parę najłagodniejszych ptaszków.”

XI.

PRZEJAŻDŻKA DO BIELAN.

Karolina, córka warszawskiego kupca, kończyła dopiero rok ósmy, a już miała trzech braci i jedną siostrzyczkę, młodszych od siebie. Matka jej, tyle mając drobnych dzieci, nie mogła sobie dać rady sama z dziećmi i z domem, nauczyła się więc Karolina zawczasu być jej pomocą: pilnować młodszego rodzeństwa, szyć, pończoszki robić dla braciszków, bawić małą siostrzyczkę i dlatego też Matka i Ojciec serdecznie ją kochali i kiedy tylko mogli, starali się przyjemność jej zrobić.

Karolina niezmiernie lubiła przejeżdżać się za miasto z rodzicami i z rodzeństwem; ta zabawa największem szczęściem była dla niej. Wiedział o tem dobrze jej Ojciec; jednej więc soboty, kiedy właśnie przez cały tydzień jeszcze pracowitszą była, niż zazwyczaj, powiedział jej: że nazajutrz raniuteńko na cały dzień do Bielan pojedą. Karolina jeszcze nigdy na Bielanach nie była,

ucieszyła się więc niesłychanie; podskoczyła z radością, pocałowała Ojca w rękę, uściśkała Matkę, pobiegła do sióstr i braci i wszystkim mówiła:

— Jutro raniuteńko pojedziemy na cały dzień do Bielan!

Matka zaczęła przyrządzać różne na następujący dzień jedzenie: kawę, wódkę, kurczęta, pieczeń cielecą, bulion, bułki, masło, wino, ciasta, bo już do wieczora w Bielanach zabawić mieli. Karolina zaś dobywała z szafy, białą dla siebie i dla rodzeństwa bieliznę; dla braci majteczki płócienkowe niebieskie w paski, sobie zaś i siostrze takie same sukienki; położyła na stoliku przy łóżeczku każdego: białą koszulkę z karbowanym gorsem, białe pończoszki i czarne nowe trzewiczki, obejrzała czy wszystko było całe, żeby się nazajutrz prędko i porządnie ubrać mogli. To zrobiwszy poszła spać, a z uciechy jutrzejszego spaceru i ona, i całe jej rodzeństwo spali wybornie.

Nazajutrz obudzili się jeszcze wcześniej niż Rodzice; Karolina wstała najpierwsza i pobiegła do okna. Czas był prześliczny, poranek czerwcowy jaśniał w całej piękno-

ści, słońce już wstało, na niebie ani jedna chmurka się nie uwijała. Karolcia braci i siostrzyczkę zachęciła do wstania; Matka także wstała i zajęła się pakowaniem jedzenia, urządzeniem domu, a Karolina zmówiwszy z braciszkami pacierz, ubrała ich ślicznie, dała im kapelusze i białe chusteczki do nosa, potem wybrała się sama, i o szóstej godzinie już wszyscy byli w powozie, nawet maleńka Henrysia z piastunką. Ruszyli przez Nowe Miasto. Jakaż przyjemną mieli drogę!

Wyjechawszy za Marymonkie rogatki, obrócili się w prawo, chcąc dolną drogą do Bielan dojechać. Jak się też Karolinie i jej braciom podobała szeroka Wisła, płynące na niej statki z żaglami, domki, łąki, pola, drzewa, które po lewej stronie drogi widzieli. Mała Henrysia nawet, podniósłszy rączkę kręciła nią i mówiła:

— Caca! caca! — ciągle chwając i szczebiocąc.

Wkrótce przybyli do Bielan, po wybornej drodze, i wysiedli z lasku pod górą, nie daleko zdroju. Tam po lewej ręce, o kilkaset kroków od drogi, jest mała chatka, która dawniej była młynem, ale teraz niema ani

kół, ani wody; mieszkają w niej dobrzy ludzie, bardzo gościom radzi; mleka i śmietanki u nich dostać można, i ugotować obiad na małym ich kominku. W tej chatce już nieraz byli Rodzice Karoliny, ale bez dzieci. Przyjemna to jest strona bielańskiego lasu, lubo mało uczęszczana. Przeszedłszy błotnisty strumyk przy niej się sączący, który niegdyś był rzeczką, wchodzi się do miejsca bardzo pięknego. Są tam wysokie drzewa, bujna trawa, można i stół zastawić, biegać, bawić się jakby u siebie.

Matka Karoliny zabrała się do rozpakowania wszystkiego i do przygotowania jedzenia. Ojciec z dziećmi przeszedł po kładce mały strumyk. Karolina przyniosła mu poduszki z kocza i położyła pod drzewem; usiadłszy na nich patrzył na dzieci, biegające wesoło po zielonej trawie, pod pięknych dębów cieniem. Niezadługo Matka przyniosła mężowi wódki i bułkę z masłem, a dzieciom mleka i chleba; napili się i zjedli.

Już była godzina dziewiąta, zadzwoniono na mszę w kościele. Karolina poszła z rodzicami na mszę; już blisko od roku w kościele bywała i książeczkę swoją do nabo-

żeństwa przywiozła z Warszawy. Wszedłszy wesoło i ochoczo na górkę, na której kościół stoi, modlili się pięknie, i podobał jej się kościół, bo bardzo porządny i schludny.

Wróciwszy ze mszy, już też o niczem nie myślała wraz z braćmi, tylko o zabawie. Przywieźli z sobą piłkę, wolanta, obręcze rzucali, łapali, grali w gąskę, w cztery kąty, w zajączka. Ojciec z Matką czasem bawili się z nimi razem, czasem siedzieli na trawie, rozmawiali z sobą, patrzeli na dzieci; a mała Henrysia, czasem na nóżkach lecz częściej na czworakach, zносиła im kwiatki i trawę, które garsteczką koło siebie rwała.

W południe, wszyscy się wzięli do ustawienia stołu, wybornie im obiad smakował, i kawa z ciastami na podwieczorek! A po podwieczorku poszły wszystkie dzieci z Rodzicami na górę, obeszły całe Bielany, siedziały chwilkę na ławce pod dębem, z której taki piękny widok na Wisłę i na przeciwny jej brzeg. Karolina i jej braciszki aż na ławkę weszli, żeby lepiej widzieć; przypatrzyli się także różnym powozom, pięknie postrojonym paniom; a wracając ku chatce, usiedli przy zdroju, który tak pięknie przy

samej drodze wytryska. Skoro nieco odpoczęli, Karolina poprosiła weterana tam stojącego o parę szklanek; Ojciec miał w kieszeni butelkę soku wiśniowego i napili się wszyscy wybornej wody. O zachodzie słońca dopiero wsiedli do powozu, i pojechali do Warszawy; już się zmierzchało kiedy w domu stanęli.

Jeszcze w pół roku po tej przejażdżce, w zimie, wspominała o niej Karolina; a braciszki jej dziękowali, że dla jej miłości Ojciec i Matka taką precudowną zabawę im wyprawili.

XII.

LEOSIA I TEONIA.

Jedni bogaci państwo mieli jedynaczkę córkę Leosię. Leosi smutno było bez braćciszka i siostrzyczki, bo nie miała z kim się ubiegać o to: kto się lepiej nauczy? i często, bardzo często Mamy swojej o jaką panienkę prosiła. Mama obiecywała jej długo, narazcie wzięła do siebie ubogą i daleką krewną.

Mała Teonia w równym była wieku z Leosią, tak jak i ona siedem lat niedawno skończyła; ale Leosia miała i Matkę i Ojca, miała nawet i guwernantkę, wszyscy służący dogadzali jej, i pochlebiali, na niczem jej nie zbywało, a biedna Teonia już od trzech lat nikogo nie miała, i była sierotą. Tułała się z domu do domu, wszędzie z łaski jeść jej dawano, i nędzne sprawiano sukienki; wszędzie ją popychali, szturchali, łajjali, czy zasłużyła czy nie. Nieszczęśliwa, za-

fukana, nie nie umiała, i wszyscy dotąd o niej mówili, że mazgaj, niezdolna i głupia.

Tymczasem Teonia nie była taką, tylko się taką być zdawała; bo nikt nie obchodził się z nią dobrze, nikt jej dobrego słowa nie dał; a najlepsze dziecko złem się stać może, jeżeli jest tak nieszczęśliwe, że w złe wpadnie ręce. Wykryło się to wkrótce po jej przybyciu do Rodziców Leosi.

Guwernantka Leosi była bardzo łagodna i rozsądna osoba, i z taką dobrocią obchodziła się z Teonią, że ona duszą i sercem do niej się przywiązała. Przy niej nie płakała nigdy, była rozmowna, przyjemna, i zaczęła wcale nieźle pojmować roboty i nauki. Jednak Leosia słysząc pierwej o niej jako o nieuku, widząc, że dopiero zgłoskuje i kreski stawia, w wieku, kiedy ona już czytała gładko, i pisała dosyć dobrze, zaczęła myśleć o sobie, że jest bardzo uczona, i z pogardą na biedną Teonię patrzyła. Zaczęła nawet opuszczać się bardzo w nauce, w robocie; nieuważnie czytała, źle pisała, bo jej się zdawało, że już wszystko umie. Tymczasem jednego razu wcale czego innego dowiedziała się o sobie.

Przyjechała do jej Rodziców bardzo rozumna Pani, wielka guwernantki Leosi przyjaciółka, i bardzo dzieci lubiąca, zaczęła uważać na obie dziewczynki, a chcąc lepiej dowiedzieć się jakimi były, Pani ta poszła raz wieczorem z guwernantką do ogrodu, i usiadłszy z nią na ławce w altanie, zaczęła dopytywać się o dzieci, przyczem bardzo chwaliła Leosię.

— Prawda! — odpowiedziała jej guwernantka — Leosia jest układna, grzeczna dla obcych, dosyć na swój wiek umie, wesola, zabawna, dobre ma serce, ale w tem wszystkim nic nie ma dziwnego. Leosia od kolebki starannie jest prowadzona, pracuje nad nią, pilnuje jej od rana do wieczora, taka szczęśliwa, tak jej wszyscy dogadzają, nikt jej nie strofuje; i przyznam ci się, kochana przyjaciółko, że na te starania, na tyle szczęścia, powinnyby ona i więcej umieć i być grzeczniejszą. Leosia bardzo często grymasi i ma wielkie o sobie rozumienie; od jakiegoś czasu bardzo źle się uczy, i pewno nic nie będzie umiała, bo zdaje jej się, że już wszystko umie. Zdziwisz się co ci powiem, ale ja daleko wolę Teonię od niej;

więcej z niej mieć będę i mam pociechy. Leosia ma wadę wielu dzieci bogatych; myśli, iż dlatego, że jej Rodzice mnie płacą, ona mi już żadnej wdzięczności nie winna, i że wszyscy dla niej z powinności robią; nie okazuje mi też najmniejszej wdzięczności, ani przywiązania. Teonia przeciwnie, choć niedawno tu jest, już mnie daleko więcej kocha i ja ją nawzajem; a lubo dotąd tak zaniedbaną, tak źle prowadzoną była, zaręczam ci, kochana przyjaciółko, że jeśli się Leosia nie odmieni i nie poprawi, Teonia za rok i przyjemniejszą i bardziej kochaną i więcej umieć i podobać się będzie.

Tę mowę guwernantki swojej Leosia usłyszała co do słowa, bo była koło altanki, kiedy ona do niej z przyjaciółką weszła, ale jej nikt nie widział. Naprzód chciała się rozpłakać, pobiedz do Matki i poskarżyć się na guwernantkę, ale potem przyszło jej na myśl, że ona podobno dobrze i prawdziwie mówiła. Głos sumienia, który zawsze odzywa się w każdym dziecku, odezwał się w niej i tak sobie powiedziała:

— Nie pójdę do Mamy, nie nikomu nie powiem, ale się odmienię i poprawię.

I tak uczyniła; zaczęła okazywać więcej przywiązania guwernantce i pilniej pracować, przyznała, że to nie wielka sztuka więcej umieć, od tych, których niczego nie uczono; i Teonia dopiero po kilku leciech i po wielkiej pracy, doszła jej w nauce i przyjemności, nie prześcignęła zaś nigdy; a guwernantka i wszyscy zarówno obydwie kochali.

XIII.

BRAT I SIOSTRA.

Tomcio i Urszulka, brat i siostra, mieli bardzo dobrą Matkę, która myślała o ich dalszym losie i szczęściu, i o terażniejszym ich dobru. Mówiła im o Bogu, o enocie; uczyła ich wszystkiego, czego takie dzieci uczyć można; na niczem im nie zbywało; mieli co jeść, mieli porządne sukienki, ładne książki z obrazkami, i dosyć zabawek; w lecie chodziła z niemi do ogrodu, jeździła za miasto, w zimie spraszała im znajome dzieci, żeby z niemi biegały i tańcowały. Pomimo tego wszystkiego, Tomcio i Urszulka wcale nie byli szczęśliwi, i bardzo często brat siedział zadąsany i smutny w jednym pokoju, w drugim siostra zapłakana. Dlaczego tak się działo z temi dziećmi? Oto dlatego, że nie umieli żyć z sobą w zgodzie, znosić się wzajemnie, ustępować sobie; a na tem prawie całe szczęście, cała przyjemność życia i małych i dużych zależy.

Kiedy Tomciowi chciało się gonić po pokoju, Urszulka właśnie miała ochotę siedzieć i bawić się kartami; kiedy znowu Urszulka prosiła ładnie Tomcia, ażeby poszedł z nią tańczyć, on nie odpowiedział jej ani słowa, i nie ruszył się z miejsca. Kiedy Urszulka powiedziała *tak*, Tomcio zaraz mówił *nie*; kiedy jedno z nich dostało jaką zabawkę, ani się tknąć drugiemu nie dało. Jeszcze Urszulka byłaby może prędzej ustąpiła i żyła w zgodzie, gdyby Tomcio był inny; ale on, rokiem od siostry starszy, zamiast być dla niej grzeczny, jak dobrze wychowany chłopczyk dla każdej dziewczynki być powinien, dwa razy więcej się z nią sprzeczał i kłócił niż ona z nim, a czasem nawet i popchnął ją i szturechnął. Dla tej więc jednej przyczyny, kiedy inne zgodne dzieci na miejscu Tomcia i Urszulki byłyby zawsze wesołe i bawiłyby się wybornie, oni się dąsali i nudzili.

Nie raz Matka im mówiła:

— Wstydzicie się! jak może brat z siostrą w takiej żyć niezgodzie? rodzeństwo powinno się kochać, ustępować sobie wzajemnie!

Jakże wy później z innymi żyć potraficie, kiedy z sobą nie umiecie się zgodzić?

Te napomnienia, codziennie powtarzane, nie pomagały; im dzieci były starsze, tem się bardziej sprzeczały i kłóciły, i tem częściej Urszulka co oberwała od Tomcia.

Możeby tego nikt nie zgadł, ale przecież tak było: te dzieci kochały się serdecznie.

Jednej niedzieli (było to w zapusty), Matka chcąc żeby się wytańcowały, zaprosiła do siebie kilkoro dzieci i wyprawiła im mały balik. Gdy już kilka rozmaitych tańców bardzo wesoło przetańczyli, Urszulce zachciało się krakowiaka, bo ładne umiała piosneczki. Tomcio zaś uparł się, żeby koniecznie tańczyć mazurka. Po krótkiej sprzecze Urszulka ustąpiła; Tomcio rozpoczął z nią mazurę, i jak zaczął wywijać, pośliznął się, upadł i tak mocno rozbił głowę, że mu się krew z nosa rzuciła. Przełękli się wszyscy; Urszulka strwożona wybiegła do przedpokoju po zimną wodę; mróz był niezmierny, ktoś drzwi od sieni otworzył, Urszulka zgrzana, prosto z tańca, nie na szyi nie miała i objął ją wiatr zimny.

Ale zajęta bratem, nie nie myślała o sobie; wróciła z wodą, sama mu ją przykładła. Krew zatamowała się niezadługo; ale że głowa Tomcia bolała, Matka nie pozwoliła mu już tańczyć i balik wkrótce się skończył. Urszulka czuła jakąś zawadę w gardle, raz jej było zimno, drugi raz gorąco, ale nie o tem nie mówiąc, poszła spać. Nad ranem Matka się budzi i słyszy, że Urszulka stęka i jakoś dziwnie kaszle; porywa się biegnie do jej łóżeczka, bierze ją za rękę i poznaje, że bardzo mocną ma gorączkę. Mówi do niej, Urszulka jej odpowiada, ale z wielką trudnością. Budzi służących, posyła po doktora. Doktor przyjeżdża, kręci głową i mówi, że się Urszulka musiała nagle zaziębić i że bardzo jest chora. Był to bowiem początek k r u p u, choroby okropnej dla dzieci, bo z niej we dwudziestu czterech godzinach umrzeć można. Doktor zapisał różne lekarstwa, ale widać było po jego twarzy, że nie ręczył za ich skutek.

Ach! któż opowie rozpacz Matki Urszulki, smutek jej Bony i wszystkich domowych, a osobliwie żal Tomcia?

— Mój Boże! mój Boże! — wołał załamując ręce — Urszulka umrze z mojej przyczyny! dla mojej miłości, a ja tak jej dokuczałem!... O Boże! dobry Boże! zmiłuj się! daj jej zdrowie, a ja przyrzekam, że nigdy w życiu sprzeczać się z nią nie będę!..

I to mówiąc tak płakał, że go aż wyprowadzić z pokoju musiano.

Ale Bóg nie chciał, żeby Urszulka umarła; pozwolił więc doktorowi poznać się od razu na jej chorobie, i dał skutek jego lekarstwom; wkrótce dziewczynka wyszła z niebezpieczeństwa, a we trzy dni już miała się dobrze, tylko była osłabiona, i nie pozwolił jej doktor wychodzić z pokoju. O! jak też Tomcio był szczęśliwy! jak serdecznie siostrę przepraszał! jaki był dla niej grzeczny! znosił jej wszystkie swoje zabawki, najładniejsze jej darował, czytał jej różne powieści, różne opowiadał rzeczy, ustępował we wszystkim. Rozczulona dobrocią brata, Urszulka była wzajemnie grzeczną, łagodną i ulegającą; robił co ona chciała, ona nawzajem stosowała się do jego życzeń; i tak im było dobrze, że

postanowili sobie żyć zawsze w takiej zgodzie, i dotrzymani słowa. Uradowali tem Matkę; i ta ich poprawa nagrodziła jej zupełnie niespokojność, której ją nabawiła nagła choroba Urszulki.

XIV.

B A B U N I A.

Przez dwa pierwsze lata życia swojego, mały Michaś chował się u Babuni. Gdy trzeci rok zaczął, oddała go Rodzicom, bo musiała odjechać w odległą stronę. Właśnie Michaś sześć lat skończył, gdy Babcia wróciła. W kilka dni po swoim powrocie, prosiła bardzo Rodziców Michasia, żeby jej pozwolili wziąć go do siebie na jeden miesiąc. Przystali na to ochętnie, bo któreż dziecko nie lubi odmiany? Z największą więc radością zaczął pakować swoje zabawki, papiery i książki.

Kiedy się wybierał i cieszył, zawołała go Matka do siebie, i tak mu powiedziała:

— Mój Michasiu! ty bardzo się cieszysz na ten miesiąc mieszkania u Babuni?

— O bardzo!

— Cóż tam robić myślisz?

Helenka,

— Co robić? oto bawić się precudownie.

— Może się omylisz, kochany Michasiu, Babunia jest już w wieku i chorowita, lubi cichość i spokojność, nogi ją boła, nie będzie mogła ani biegać, ani gonić się z tobą, słuch też ma dosyć tępy; będziesz musiał się bawić ostrożnie, nieraz będziesz siedział, i godzinę na stołeczku przy jej krześle; nie zawsze usłyszysz co powiesz, będziesz jej musiał powtarzać jedno dwa i trzy razy; ale niech cię to wszystko nie nudzi i niecierpliwi. Pamiętaj sobie zawsze o tem, jakie staranie miała Babunia o tobie, kiedyś był maleńki. Ja byłam bardzo chora gdyś ty się urodził; Babunia chociaż już była wtenczas w wieku i słabowita, wzięła cię do siebie, i prawie na swoich rękach wypiąstowała. Chorowałeś kilka razy przez te dwa lata, niespokojność o ciebie bardzo jej zdrowie pogorszyła; trzeba więc żebyś jej się wywdzięczył teraz za wszystko dobre, które ci wyświadczyła, za wszystko co dla ciebie wycierpiała. Osoby stare nie są ani takie ładne, ani takie przyjemne, jak młode; ale Bóg na to nas stworzył, żebyśmy się zestarzel; i jeśli Bóg dobry pozwoli, żebyś ty

doczekał Babuni wieku, przyjdzie czas kiedy i twoja pleć rumiana i gładka zżółknie i zmarszczy się; te złote włoski osiwieją, osłabniesz, zgarbisz się, będzie cię wszystko bolało, nie będziesz taki wesół, taki żwawy jak dziś jesteś. Jakże ci wtenczas będzie miło, jeśli się znajdzie jakie dobre dziecko, które nie zważając na to, że już nie wielka z tobą zabawa, będzie przecież cię kochało, i będzie grzeczne i usługne dla ciebie.

— O Mamo! — zawołał tu Michaś — nie wiem czy to być może, żebym ja był kiedy taki stary jak Babunia, ale to wiem, że ją bardzo kocham i że będę grzeczny i usługny dla niej.

— Pamiętaj być takim — powiedziała jeszcze Matka ściskając go; — bądź dobry, grzeczny, pełny uszanowania dla starszych, a Bóg ci błogosławić będzie i da ci długie życie.

Dotrzymał Michaś obietnicy, pamiętał na słowa Matki; chociaż u Babuni nie bardzo było wesoło, chociaż musiał się bawić ostrożnie, i nie mógł ani tak biegać, ani tak hałasować, jak u Rodziców, choć nie miał się

z kim bawić, i Babunia bardzo była lękliwa, przecież wynalazł sobie różne zabawki. Babunia miała ptaszki, pieski i kotkę; Michaś z temi wszystkimi zwierzątkami wnet zabrał znajomość: ptaszkom dawał cukier, pieskom kosteczki, z kotką dzielił się zawsze mlekiem ze swego śniadania; prawda, że często siedział po godzinie na jednym miejscu, ale Babunia takie ładne i nauczające historyjki mu opowiadała. A wreszcie, skoro tylko dziecko jest dobre i grzeczne, to mu wszędzie wesoło i dobrze, a Michaś taki był grzeczny! Słuchał Babuni, dogadzał jej we wszystkim, usługiwał; jeżeli co upuściła na ziemię: drut, kłębek, chustkę do nosa, tabakierkę albo okulary, zaraz podnosił i podawał; on jej zawsze książkę do nabożeństwa, koronkę najpierwej wynalazł i podał, przystawiał jej stołeczek pod nogi, poduszkę za nią nosił; oganiał ją z much, kiedy po obiedzie na krześle drzemiała i nie niecierpliwił się, chociaż jej czasem jedno słowo trzy razy powtórzyć musiał. Babunia go też trzy razy więcej pokochała, niżeli dawniej; płakała jak się miesiąc jego mieszkania u niej skończył i Michaś płakał, cho-

ciaż się cieszył trochę, że wróci do Matki do Ojca, do sióstr, do braci i do głośniejszych zabaw.

Rodzice jego tak się ułożyli z Babunią, że co miesiąc inne dziecię jej dawać będą, żeby jej było weselej; a chociaż wszystkie ich dzieci były dobre i znały uszanowanie i względy jakie dla starszych mieć potrzeba, Babunia jednak najlepiej lubiła, kiedy miesiąc Michasia przyszedł; żadne z wnucząt tak jej dogodzić nie umiało.

Michaś też wyrósł duży; teraz już jest stary, już jest Dziaduniem i dzieci tak mu usługują, tak mu dogadzają, jak on kiedyś usługiwał i dogadzał Babuni.

XV.

P Ł A C Z K A.

Dobre, posłuszne, łagodne było dziecko z małej Klemensi, ale nie było w świecie całym większej od niej płaczki. Za najmniejszym powodem strumienie łez puszczały się z jej niebieskich oczek i gotowa była dwadzieścia razy na dzień rzewnie szlochać i płakać. Ponieważ Klemensia w bardzo dobrych była rękach i dobra była dziewczynka, nikt jej się nie sprzeciwiał, wszyscy ją kochali, i każdy byłby chciał oddalić od niej wszelką przyczynę do płaczu. Ale nikt tego dokazać nie mógł, bo Klemensia często i bez przyczyny płakała. Czy kto z niej najostrożniej żartował, czy ją najdelikatniej napominał, czy jej się zarzuciła jaka zabawka, czy plamę zrobiła na sukience, zaraz zanosiła się prawie od płaczu.

Raz u stołu, przy wielu gościach, na głos się rozplakała, wołając „*pasternak!*” bo nie

lubiła tej jarzyny, a zobaczyła kawałek w rosole. Przez cały niesiąc, zawsze przy obiedzie, gdy pieczone dawano, zaczynała gorzko płakać; a to dlatego, że wiedziała iż po obiedzie wszyscy pójdą do ogrodu i turbowała się zawczasu, że nie potrafi znaleźć kapelusza i rękawiczek, że ją odejda samą!

Ani zrachować można, dla ilu przyczyn Klemensia płakała: ale możnaby zapewnić, że wylała codzien przynajmniej kwaterkę łez, i że mogąc być przyjemnym i szczęśliwym dzieckiem, była nudną i smutną. Co więcej, od tego nieustannego płaczu tak sobie osłabiła oczy, że o mało co nie ociemniała. Ledwie ją jeden dobry doktor z wielką pracą wyleczył.

Właśnie kiedy już jej oczy do zdrowia przychodzić zaczynały i ona już cokolwiek była rozumniejsza, bo szósty rok miała, osoba niezmiernie rozsądna i dobra, która się jej wychowaniem trudniła i jak drugą Matką dla niej była, wzięła ją jednego dnia na kolana i tak do niej mówiła!

— Moja kochana Klemensiu! Bóg dał ci rozum, już też szósty rok kończysz, możesz więc sama pojąć, jak wiele sobie tym nieu-

stannym płaczem szkodzisz. Oto ledwieś nie ociemniała, zawsześ smutna, nieszczęśliwa, wszyscy cię nazywają płaczką i mazgajem, i nie kochają cię tak, jakby kochali, gdybyś zawsze wesołą była. Odzwyczaj się od tego płaczu, każdy kto chce szczerze, wszystko zrobić; gdy masz największą ochotę do płaczu, przeżegnaj się, proś Boga o pomoc i staraj się zabawić czem innem, nie zważaj na małe przykrości; wreszcie jeżeli już wstrzymać łez nie możesz, popłacz trochę, ale bez krzyku. Jeśli mnie cokolwiek kochasz, spróbuj i rób tak, jak ci radzę.

Klemensia bardzo tę osobę kochała, objęła więc jej szyję swemi rączkami, całowała ją w twarz, a płacząc rzewnie obiecała, że już *nigdy* płakać nie będzie. *Nigdy!* tego dotrzymać nie mogła, bo każdy czasem zapłakać musi. Jeżeli dziecko co złego zrobi, gdy się rodzice i starsi na niego gniewają, jeśli ma prawdziwe jakie zmartwienie, to nawet źle bardzo jeśli nie płacze; ale o małe rzeczy, o drobne przeciwności strofowania, zaraz płakać i mazać się, to wstyd wielki, i zaledwie do czterech lat takie mazgajstwo ujść może. W sześciu, w siedmiu leciech, a je-

szcze też u chłopczyka, wada jest niezmierna i bardzo szpetna.

Klemensia chociaż dopiero pięć lat miała i dziewczynką była, ale jak sobie przyrzekła, że się poprawi, tak się poprawiła. Z początku z trudnością jej to przyszło; zaraz pierwszego dnia swojej poprawy, nie dano jej takiego podwieczorku jaki chciała i już miała się rozplakać, lecz przeżegnała się, zaezęła łyżę połykać, chlebem je zajadać i przeszła jej ochota do płaczu. Tak i w innych zdarzeniach czyniła, a jednak już żadnym sposobem utrzymać się nie mogła, szła do kącika i tam usiadłszy, płakała sobie eichuteńko. Po mału, po mału i zawsze pamiętając na siebie i chcąc szczerze się poprawić i od tego płaczu się odzwyczaiła: a kiedy siedem lat skończyła, nikt w wesołej i śmiejącej się dziewczynie nie mógł poznać owej *Płaczki*, z której tak wszyscy się śmieli.

XVI.

KAROLEK.

Kto jest bogatym, nigdy nie powinien myśleć, że całe życie bogatym będzie; i dzieci najbogatszych rodziców mające, które i w pięknych pokojach mieszkają, i powozami jeżdżą i ładne mają sukienki, nie powinni nigdy być dumne i pogardzać biednymi dziećmi, tego wszystkiego niemającymi. Naprzód, że nie sztuka być bogatym, kiedy kogo Bóg bogatym stworzył, a powtóre, że człowiek mający najwięcej pieniędzy, łatwo może biednym zostać.

Tak się stało Karolkowi i jego siostrze. Ojciec jego miał niby wielki majątek, Karolek i jego siostry jak paniątka się chowały; tymczasem ojciec umarł, i pokazało się, że nic nie posiadał; zostawił tylko po sobie wdowę i troje sierot. Najstarszym z nich był Karolek, miał już rok ósmy; dzielny i poczciwy był z niego chłopczyk. Nie było w tem

nie dziwnego. Karolek miał bardzo dobrą Matkę; ta go przyzwyczajała od dzieciństwa do nauki i do roboty; kiedy myślał, że był bogatym, nie pogardzał ubogimi, nikt też nim nie pogardził, gdy ubogim został. Matka musiała własnymi rękami zarabiać sobie na życie, bo inaczej wraz z dziećmi nie miałaby co jeść, ale równie dobrze wychowana, jak sama dzieci dobrze chowała, umiała wiele prześlicznych robót i nie wstydziła się pracy; haftowała, szyła, siatki robiła, ludzie dawali jej za to pieniędzy, i żyła ucziwie. Karolek o nie tak Boga nie prosił jak o to, żeby jak najprędzej Matce i siostrze mógł być pomocą; wielką miał ochotę do jakiego rzemiosła, i bardzo był sposobny i zręczny.

Matka jego miała przyjaciela zegarmistrza; za dobrych czasów nie jeden od niego zegar kupiła; zegarmistrz znał się i na rzemiośle swoim, i na wdzięczności, przystał więc na to bardzo chętnie, żeby Karolek na kilka godzin do niego przychodził, i uczył się robić zegarki. Karolek niezmiernie uważał, starał się pojmować czego go uczono, bo zawsze sobie myślał:

— Jak ja się dobrze nauczę zegarki robić, to będę znowu bogaty i Matce na niczem zbywać nie będzie.

Zegarmistrz bardzo Karolka polubił, bo jak tu dziecka starannego, uważnego nie lubić? i chociaż uczniom nie miał zwyczaju płacić, wyznaczył mu małą pensję. Jakież było szczęście Karolka, kiedy Matce pierwszego rubla przyniósł, gdy ona kupiła sobie za niego trzewiki i rękawiczki! Jaka radość, kiedy siostrom za własne pieniądze ciasteczek kupił, których one tak dawno nie jadły. Ale to wszystko niczem było w porównaniu do tego szczęścia, które Karolka czekało, gdy wyrósł.

Tak się uczył ciągle, tak się starał, tak pracował, tak był dobry, że biegłym zegarmistrzem został, i to bardzo wziętym. Przy pilności, rzetelności, oszczędności i pracy, doszedł do tego, że z małego sklepiku dorobił się najpierwszego sklepu w mieście, a z czasem i dom kupił. Wziął Matkę do siebie, siostry zamaż powydawał, sam się ożenił, i Matce się zdawało, że zno-

wu jest bogatą, bo jej na niczem nie zbywało, bo jej syn pieniędzy i wszystkiego dostarczał. Codziennie wstając i kładąc się spać, prosiła Boga, żeby go błogosławił, i żeby wszystkim ubogim matkom takich dobrych dawał synów.

XVII.

MATKA NAJLEPIEJ DZIECIĘCIU
DOGODZI.

Felunia, Broniś i Władzio w pięknym dniu czerwowym bawili się w ogrodzie i znaleźli maleńką makolągwę w trawie. Ucieszyli się bardzo z tego odkrycia, ale każdy chciał ją sobie przywłaszczyć i wołali: „to mój ptaszek, to mój!” Ale nareszcie przyznali, że Felunia najpierwsza go spostrzegła, i że do niej należeć powinien. Felunia wzięła go więc i pobiegła co sił miała do: Mamy swojej.

— Mamo! Mamo! — wołała — patrz! znaleźliśmy małego ptaszka; ledwie dychał, nie było nikogo przy nim; ja go zobaczyłam, Broniś go podniósł i mnie go dał. Jeśli Mama pozwoli, będę go chować i karmić: będzie tak szczęśliwy, jak gdyby był u Matki swojej.



Matka najlepiej dzieciom dogodzi.

— O tem wątpię — odpowiedziała Feluni Matka, —ale gdy takie zdarzyło mu się nieszczęście, że wypadł z gniazda, i zginąłby zapewne z zimna i z głodu, pozwolę ci go karmić i chować.

— Ale Mama mnie nauczy jak to zrobić?

— Chętnie, przynies naprzód klatkę.

Felunia przyniosła

— Oto jest klatka — powiedziała — ale dno bardzo twarde, z czegoż ja mu gniazdko uścielę?

— Ja przyniosę siana! — zawołał Broniś.

— O, siano twarde — mówiła Felunia; — weźmy lepiej trawy i trochę piórek, i zrobimy wyborne gniazdo.

— Nie — rzekła Matka, — nie tak łatwo, jak wy myślicie, wyborne gniazdo zrobić: każdy ptaszek inaczej go sobie ścielę, według przemyśłu swojego i doprawdy nie wiem jakie są gniazda makolągów; ale mamy mały koszyczek po moich kanarkach, włożymy waty, będzie ptaszynie mięko i ciepło.

Tak zrobili, i zdawało się, że ptaszкови powinno być dobrze. Zaczęli potem radzić, co mu dać do jedzenia, zdania były różne, nareszcie Matka powiedziała, że najlepiej utłuc siemienia konopnego, rozmozczyć go z bułką w mleku, i zrobić papkę. Ale jeszcze czegoś brało: ptaszek był mały, nie umiał jeść sam; Matka pokazała Feluni jak go karmić piórkiem. Nieźle się to udało, ptaszek rozdziawił dzióbek, połknął i Felunia aż podskoczyła z radości i zawołała:

— O! obejdzie się zupełnie bez Matki! Teraz zapewne spać będzie!

Postawiła klatkę na stole, okryła ją zieloną chustką; ale jakież było jej zmartwienie, kiedy usłyszała ptaszka grzebiącego się i piszczącego tak żałośnie, jak gdyby mu się największe stało nieszczęście!

— Mamo! Mamo! — zaczęła wołać smutnie, — cóż jemu więcej zrobię, żeby on był szczęśliwym! Ma takie wygodne gniazdeczko, takie dobre jedzenie, tak mu zielono jak w gaju, i jeszcze narzeka i piszczy. Przykry mi jest ten pisk jego!

— Prawda—odpowiedziała Matka — wiadać że cierpi, i nie masz się czemu dziwić;

któż potrafi zastąpić człowiekowi i ptaszynie gniazdo rodzicielskie i starania macierzyńskie? Miękkie, wygodne jest to gniazdeczko, ale niema Mamy, która go okrywała skrzydełkami, rozgrzewała piersiami, i świergotaniem do snu pobudzała. Jadło któreś mu dała, jest dobre; ale przecież nie takie, jakie Matka mu przynosiła i przyprawiała w swym dzióbku.

Felunia głęboko westchnęła: zaczęła się obawiać, czy potrafi ptaszka zupełnie uczynić szczęśliwym. Próbowwała jeszcze różnych rzeczy, brała go w rękę, chuchała na niego, dawała mu jeść, — ptaszek zawsze piszczał. Widząc, że nie nie pomaga, powiedziała:

— Ach! gdyby można wiedzieć gdzie jego Matka, zarazbym go jej oddała!

— Jeśli szczerze tak chcesz zrobić, kaź zawiesić klatkę na drzewie, pod którym go znalazłaś: zostaw ją otwartą, może przyłeci.

— O dobrze! dobrze! — krzyknęła radośnie Felunia, i pobiegła do ogrodu z braćmi.

Broniś wskoczył na drzewo i przywiązał otwarką klatkę, tymczasem Felunia z Wła-

dziem szukali gniazdkka w trawie: znaleźli je niedaleko zepsute, widać że kot niegodziwy rzucił je; podusił i pojadł ptaszyny i ta jedna tylko uszła jego żarłocstwa.

Gdy dzieci użalały się nad tą smutną przygodą, Matka na nich zawołała:

— Odstąpcie od drzewa, widzę na jednej gałęzi ptaszynę; słyszycie jak żalśnie się odzywa, pewnie za swemi pisklętami woła.

Dzieci usłuchały i odeszy; przypatrywały się tylko z daleka; nie upłynęło kwadransa, aż ptaszyna w klatce zaczęła głośniej piszczeć, a ptak z drzewa niespokojnie latał; nareszcie zbliżył się do klatki i wskoczył na wierzch, trzepocząc skrzydłami. Dzieci zaraz poznały, że to Mama ptaszyny; jakoż po krótkim przypatrywaniu się, jak gdyby chciała się przekonać czy to jej pisklę, wskoczyła do klatki a wnet wylatując, przyleciała z robaczkiem w dzióbku i dała go ptaszynie. Ptaszek zjadł od razu, przestał piszczeć i narzekać i usnął niezadługo. Od tego czasu po kilka razy na dzień przylatywała Matka i karmiła pi-

sklę swoje; dzieci na noc zdejmowały klatkę i brały ją do pokoju; ptaszek był zdrów, wesół, wychował się wybornie, ulaskawił, a dzieci się przekonały, że *Matka najlepiej dzieciociu dogodzi.*

XVIII.

SZCZEROŚĆ.

Nie bardziej nie zdobi dziecięcia nad szczerłość; dziecko, zawsze prawdę mówiące, samo się przyzna, jeżeli co złego zrobi, jest bardzo kochane, mało łajane i będzie z niego kiedyś poczciwy człowiek. Wreszcie na cóż się przyda kłamstwo? zazwyczaj się wyda i nie z niego prócz wstydu i pokuty. A nawet choćby się przed ludźmi nie odkryło, Bóg wie o każdym kłamstwie, bo On wszystko widzi, a Bóg sam będąc prawdą, prawdę nad wszystko miłuje, dziećmi kłamliwemi się brzydzi i nie błogosławi im wcale.

W takim przekonaniu jedna dobra i rozsądna Matka chowała swoje dzieci; nie mogło też być w świecie całym bardziej szczerych i lepszych dzieci od Anielki i Tadzia; zdarzyło się im, że czasem co źle zrobiły, ale najmniejsze kłamstwo nigdy ich nie

splamiło. Każdy też wierzył ich słowu, tak jak gdyby już byli dorosłymi i wszystkie Matki na wzór swoim dzieciom ich stawiały. Anielka i Tadzio dali raz dowód tej swojej szczerości.

Matka ich dostała od przyjaciółki puhar szklany z krajowej fabryki; był duży, ślicznie rżnięty, i napis miał piękny wokół. Pokazywała go wszystkim i cieszyła się nim niezmiernie. Wieczorem tego samego dnia kiedy go dostała, musiała wyjechać z wizytą i dzieci zostawiła w domu. Anielka i Tadzio według zwyczaju swego bawili się wybornie, nareszcie już wybierali się spać i Bona wyszła po wodę do ich umycia, kiedy im się zacheiało obejrzeć puhar i przeczytać jeszcze napis; biorą go ostrożnie, ale stawiając napowrót, puszczają za prędko; puhar spada na ziemię, i robi się w nim duża szczerba. Dzieci zobaczywszy to, ledwie także nie upadły z wielkiego przełęknięcia; zimno im się zrobiło, włosy im powstały na głowie.

— Co my poczniemy? nieszczęśliwe! — zawołały, załamując ręce.

— Może się to jeszcze da naprawić? — dodał Tadzio; wzięli puhar, przyłożyli odbity kawał, ale ten wypadł za każdym poruszeniem.

— Co też Mama powie? jak się zmartwił jak nas łajać będzie! O Boże! po cośmy też ten puhar ruszali!

Przyszła na to bona i zlekła się bardzo; zaczęła także kłaść i przymierzać wytluczony kawałek i trzymał się dosyć dobrze.

— Może Mama tego nie zobaczy? — powiedziała Anielka— ale cóż nam z tego? odkryć się to musi czy później czy prędzej: Bóg nas widział. Już lepiej, przyznajmy się od razu do winy, nim nas się Mama zapyta!

— Zapewne! przyznajmy się dziś jeszcze—powiedział Tadzio—ja będę czekał na Mamę choćby do dwunastej.

— I ja to samo!—dodała Anielka—i tak-
byśmy spać nie mogli.

Przystąpiła na to bona i dzieci smutnie usiadły na sofie i słuchały pilnie każdego przejeżdżającego powozu. Często wstawały, chodziły do okna i powtarzały:

— O Boże! cośmy też zrobili!

Nareszcie koło jedenastej, dzieci usłyszały turkot karety coraz bliżej i bliżej, aż nareszcie stanęła przed domem. Serduszka ich były mocno z obawy, radeby się schować pod ziemię, ale jednak wzięwszy się za ręce wyszły aż na schody, drżąc całe. Zdziwiła się niezmiernie Matka, gdy ich zobaczyła.

— Cóż to — powiedziała — jeszcze nie śpicie? a wam się co stało!

— Niestety! okropne nieszczęście!

— Jakie nieszczęście? — zawołała przelękniona.

— Puhar... — więcej wymówić nie mogły dla płaczu, ale Matka domyśliła się reszty.

— Zapewne poruszyłyście i stłukły mój śliczny puhar! Ileż to razy mówiłam wam, żeby nie ruszać?

— Mamo! daruj nam! już nigdy nie będziemy! Naznacz nam jaką chcesz pokutę, ale nie gniewaj się!

I to mówiąc, dzieci padły jej do nóg, i szlochały od wielkiego płaczu. Przejęta ich szczerością i żalem, Matka ich podniosła i powiedziała:

— Przebaczam wam tę winę, ale jedynie dlatego, żeście się do niej przyznały; żadnej wam nawet nie naznaczę pokuty, bo wiem, że nie może być dla was większej nad tę, żeście mi przykrość zrobiły.

Dzieci ucałowały serdecznie kolana Matki, i długo jeszcze płakały. Ale od tego czasu nie bez pozwolenia nie ruszały, a zawsze równie szczeremi będąc, choć co, jako dzieci, zbroiły, łatwo przebaczenie otrzymały. Gdy zaś wyrosły, szacunek powszechny miały u ludzi. Anielec nie się złego nie stało, bo zawsze szczerą względem Matki była; Tadzio wyszedł na zanego człowieka, bo lubił prawdę i każdy wierzył słowu jego.

CZĘŚĆ DRUGA.

CZTERY POWIEŚCI WIĘKSZE *).

WSTĘP.

W jednej wiosce u państwa Kamińskich, spodziewano się bardzo wielu gości na ostatki. Już w tłustą środę zaczęli się zjeżdżać; przyjechali w tym jednym dniu po obiedzie: państwo Jabłońscy, właściciele dóbr pięknych, o kilka mil stamtąd leżących; pan Kaniewski, wdowiec bardzo uczony i pan Brzeski, doktor, a jeszcze daleko więcej się ich spodziewano. Każdy z tych gości przywiózł z sobą córeczkę.

*) Myśl tych czterech powieści wzięta jest z Angielskiego dzieła, pod tytułem: *Mistress Leicester's School*. (Szkoła Pani Lester).

Państwo Kamińscy mieli także córeczkę, Józię, bardzo grzeczną dziewczynkę, zebrały się więc cztery panienki, z których najstarsza miała ledwie lat osiem. Rodzice ich bardzo dobrze się znali, ale one pierwszy raz w życiu się widziały; długo więc, bardzo długo, po pierwszym przywitaniu się, siedziały wyprostowane na sofce pod oknem, i jedna patrzyła z pod oczka na drugą, ale nie mówiły do siebie. Józia, jako grzeczna i dobrze wychowana dziewczynka, radaby chciała zabawić swoich gości, więc rozpoczęła rozmowę to o zimnie, to o zlej drodze, lecz ta jej mowa urywała się prędko; dziewczęta zasłaniały sobie co moment usta chustką, przecierały oczy, kręciły się i zgadnąć można było łatwo, że ziewają i nudzą się. Spostrzegła to siostra pana Kamińskiego — Paulina; nie miała sama dzieci, ale je bardzo lubiła; od kilku dni bawiła u brata i chociaż ledwie raz na rok go odwiedzała, mała Józia, jej siostrzenica, kochała ją serdecznie i ona ją nawzajem. Ta dobra ciocia pomiarkowała więc kłopot Józii i ulitowała się nad nią; zbliżyła się tedy do okna, przemówiła grzecznie i łagodnie do

każdej dziewczynki i nareszcie tak powiedziała:

— Ja bardzo dzieci lubię i przykro mi jest patrzeć na nie, gdy są w kłopotcie i nudzą się; a wy, kochane panienki, podobno jesteście w takim położeniu. Muszę koniecznie temu zaradzić. Posłuchajcie mnie. Podług wszelkiego podobieństwa, cały tydzień razem z sobą spędzicie; nie sposób żebyście tak cały tydzień na tej sofce przesiedziały, trzeba ażebyście zaczęły rozmawiać z sobą, bawić się, trzeba się poznać; a wiecie jak najlepiej poznać się można?

— Ach! jak? jak? — spytała się Józia, która już od pół godziny nad tem dumiała.

— Oto pójdźmy do kominka — odpowiedziała dobra ciocia — tam się wesoło ogień pali. Siądźmy na małych kanapkach, obok niego stojących.

— A potem co? — przerwała Józia.

— Słuchaj tylko cierpliwie — mówiła Paulina. — Czytałam w jednej starej książce, że dawno, dawno, kiedy przypadkiem kilka osób, nieznanym sobie, zeszło się do jednego domu, opowiadały sobie wzajemnie hi-

storię życia swego i tym sposobem się poznawały. Czemużbyście wy tak samo zrobić nie miały, kochane dzieci? Spróbujcie! niech każda z was powie, co tylko pamięta z tego, co jej się od urodzenia dotychczas zdarzyło, to jest historyę życia swego; a obaczycie, że wnet nie będzie już żadna patrzyła z pod oka na drugą, nie będziecie ziewać ani się nudzić i przed końcem wieczora tak będziecie dobrze z sobą, jak gdybyście się od dawna znały.

Podobała się ta myśl Józii i innym dziewczętom; wstały, poszły do kominka, siadły na kanapkach, ale każda z nich byłaby chciała słuchać, a mówić sama nie miała ochoty. Anielka Jabłońska mówiła, że nie potrafi. Joasia Brzeska, że nie ma co powiedzieć. Marya Kaniewska, że nie wie od czego zacząć. Józia, że nie chce być pierwszą. Dobra Paulina zachęcała dziewczęta jak mogła, każda się tłumaczyła i wzdragała; ale nareszcie każda powiedziała, że byle tylko która inna zaczęła, ona potem powie. Usłyszawszy te słowa, Paulina powiedziała do Józii:

— Przynies papieru, pióro i kałamarz.

Józia przyniosła wszystko, Paulina podarła papier na cztery karteczki, spytała się każdej dziewczynki o jej lata i imię, napisała na osobnej karteczce, zwinęła je w trąbkę, wzięła mały koszyczek, wrzuciła w niego karteczki, zamieszała i podała go najstarszej z panienek, Anielec Jabłońskiej. Anielka śmiejąc się, wzięła jedną karteczkę, rozwinęła i przeczytała głośno: *Józia*. Na Józję więc wypadło opowiedzieć najpierwej historyę życia swego; drugie dziewczęta usłyszawszy to, klasnęły w ręce, cieszyły się i śmiały. Józia zaś zaczęła dumać, rumienić się; ale nareszcie, gdy jej towarzyszki sunęły się jak mogły najciaśniej w kółko obok kominka, gdy jej ciocia wskazała miejsce, skąd zacząć wypadało i niektóre poddała myśli, Józia w tych słowach mówiła:

HISTORIA JÓZII.

POWIEŚĆ PIERWSZA.

Bardzo małą byłam, kiedy mi umarła Mama; bo ta Mama, którą tu widzicie, nie była

od razu moją Mamą; pierwiej miałam inną; i dotąd doskonale ją pamiętam. Tata bardzo żałował tej pierwszej Mamy; i podobno najwięcej dlatego, że taką dobrą była, poszukał sobie niezadługo drugiej. Rano, tego dnia kiedy miał być ślub, wziął mnie na kolana, jak często od śmierci tamtej Mamy robił. Pocałował mnie kilka razy, powiedział, że jest biedna sierota i spytał się mnie:

— Czy kochasz pannę Zofię?

— Odpowiedziałam mu, że kocham.

— Kiedy tak, moja Józieczko — powiedział — to bardzo dobrze, bo ja się dziś z panną Zofią żenię; ona będzie mieszkać z nami i będzie twoją drugą Mamą.

Mówiąc to, Tata miał twarz tak wesołą, oczy tak żywe i miłe, że mi pomyślała sobie zaraz:

— To będzie przedziwna rzecz dla Taty i dla mnie, znowu znaleźć Mamę.

Tata potem uściskał mnie, zdaje mi się nawet, że mnie pocałował w rękę i powiedział, żebym się poszła ubrać, gdyż on pojedzie i za kilka godzin powróci już z Mamą. Niezmiernie z tego szczęśliwa, pobiegłam

opowiedzieć wszystko mojej bonie. Szukałam jej długo po całym domu, nareszcie znalazłam przed sienią; stała tam z szafarką i z innemi służącemi i patrzyła jak Tata wsiadał do karety. Śliczna była nasza kareta, ale już trochę brudna: Tata kazał ją umalować na nowo, cztery konie były u niej, szory ich świeciły się jakby złote, lokaje i stangret mieli nową liberyę, a konie — róże z niebieskich wstążek przy uszach. Tata także był ślicznie ubrany; nie w żałobie, ale w kamizelece białej, w czarnym fraku. Już siedział w karecie, kiedy mu ogrodnik oddał przepyszny bukiet; ledwie go Tata objął obu rękami; potem zawołał jeszcze na mnie:

— Bywaj zdrowa Józieczko!

Kucharzowi, szafarce i innym służącym powiedział:

— Miejcież wszystko gotowe, — stangretowi: ruszaj co koń wyskoczy! — i pojechał.

Gdy już kareta była za bramą i nie było jej widać, poszłam do mego pokoju, a ze mną szafarka i bona; postrzegłam dopiero wtenczas, że miały nowe suknie: jedna zieloną, druga szafirową i u czepków atlasowe wstążki; a spojrzawszy na moje łóżecko,

zobaczyłam różową atlasową sukienkę, nowiuteńką, prześliczną, a drugą białą krepową, wstażkami obszytą; były i majteczki, była i przepaska i trzewiki różowe i rękawiczki białe, łańcuszek złoty z krzyżykiem; powiedzieli mi, że to wszystko Tata kupił dla mnie; a ja myślałam, że oszaleję z radości. Biegałam po pokoju, skakałam, krzyczałam, ścisakałam bonę i szafarkę, mówiłam:

— Co to za szczęście, że Tata dziś się żeni z panną Zofią, że ona będzie mieszkać z nami, że nie będę sierotą, że będę miała znowu Mamę!

Szafarka potrzaskała głową; bona ruszyła ramionami, westchnęła głęboko i powiedziała: biedna dziewczynka! zaczęła sobie nawet obcierać oczy, a szafarka pod nosem zamruczała:

— To straszna rzecz, jaką to dzieci mają krótką pamięć!

Nie myślałam wcale, żeby te słowa były do mnie, bom sobie właśnie w ten moment przypomniawszy, że mnie Mama zawsze z dobrej pamięci chwaliła. Bona wtenczas zaczęła dmuchać w moje rękawiczki i rozcią-

gać je, a że pękły przy wielkim palcu, powiedziała:

— Takie same, widzę, białe jak i czarne; bo w dzień, kiedy naszą biedną panią...

Tu szafarka położyła swój palec na ustach, i nie dała bonie mówić dalej, a mnie te czarne rękawiczki przypomniały zupełnie chorobę, śmierć i pogrzeb Mamy. Widziałam ją bladą, leżącą na karmazynowym szezlongu, w czarnym szlafrocuku i w czepeczku tiulowym, a potem na łóżku tak dobrze uspioną, że na żadne moje wołanie obudzić się nie chciała; widziałam ją potem w skrzyni drewnianej, na atlasowej białej poduszce, w tym samym czepeczku, w tym samym czarnym szlafrocuku, bo tak ubraną po śmierci być chciała; widziałam potem, jak ją w tę skrzynię zamknęli, jak ją ludzie nasi czarno ubrani wzięli, do kościoła zanieśli. Widziałam jak Tata mdlał, a ciocia i inne osoby cucily go wódką pachnącą, wodą i prosiły żeby nie tak rozpaczał, żeby pamiętał, że ma córkę. Widziałam to wszystko, przez ten czas jak mi bona loki na głowie układała, ale widziałam to wszystko w myśli, nie mówiąc głośno. Bo od tego czasu jak

Mama umarła, nikt mi o niej nie mówił, ale ja o niej często myślałam i wcale jej nie zapominałam. Prawie codziennie upatrywałam sobie chwilę, kiedy mnie nikt nie widział, brałam stołeczek Mamy pod nogi, lalkę którą Mama dla mnie w pierwszych dniach słabości swojej ubrała i szłam do jadalnej sali. Tam na boku są drzwi do pokoju, w którym Mama umarła, w tym pokoju dotąd nikt nie mieszka; ja codziennie próbowałam otworzyć te drzwi, bo tam Mamę ostatni raz żywą widziałam; ale nie mogłam; szafarka zamknęła je na klucz; patrzyłam więc przynajmniej przez dziurkę od klucza, stanawszy na stołeczku, żeby cośkolwiek zobaczyć; i widziałam zawsze szezlong karmazynowy, na którym Mama leżała. Napatrzywszy się go, siadałam sobie na stołeczku, bawiłam się moją lalką, piastowałam ją, kołysałam i śpiewałam jej, jak Mama mi śpiewała, kiedy bardzo była mała: „*Lulajże mi, lulaj! czarne oczki stulaj!...*” Ale nie mogłam nigdy udąć miłego głosu Mamy, ona tak przyjemnie i śpiewała i mówiła. Pamiętam raz, kiedy już była bardzo chora, Tata chciał



...patrzyłam przez dziurkę od klucza.

mnie wyprowadzić z jej pokoju, a ona tak słodko powiedziała:

— Daj jej pokój, moje życie, mnie głowa nie boli od szczebiotania Józieczki!

O! jak bona ułożyła mi loki ze wszystkich włosów, jak mi włożyła te nowe sukienki, te rękawiczki, ten łańcuszek, byłabym z duszy chciała, żeby Mama żyła i widziała jak byłam ładną na weselu Taty. Ale to być nie mogło; pobiegłam przynajmniej do sali, zajrzałam przez dziurkę od klucza, przypatrzyłam się szezlongowi, siadłam pode drzwiami na stołeczku, piastowałam moją lalkę i śpiewałam jej. Dziwna myśl przyszła mi do głowy; zdawało mi się koniecznie, że gdy Tata ożeni się z panną Zofią, ona powinna przemienić się moją Mamę: tak być bladą, słabą, jak ona była; bo już tamtej Mamę zdrowej, wystawić sobie i teraz nie mogę.

Jak tylko Tata wrócił do domu, i już z panną Zofią i z innymi gośćmi, zaraz mnie szukać zaczął; przyszedł do jadalnej sali z moją drugą Mamą. Już miałam odchodzić i na pożegnanie patrzyłam sobie właśnie przez dziurkę od klucza: Mama chora i bla-

da tak mi stała w oczach, że kiedy Tata powiedział:

— Patrz, Józeczko, oto twoja Mama!

Ja tylko tyle, że się odwróciła i oczy podniosłam na chwilę, ale czempredzej zasłoniłam twarz rękami i zaczęłam rzewnie płakać. Doprawdy nie wiem dobrze dlaczego tak płakałam; chyba dlatego: że panna Zofia była rumiana i świeża, a Mamy twarz blada; że panna Zofia miała oczy czarne, niezmiernie żywe,⁸⁾ a Mamy oczy były niebieskie i miłe; że Mama miała czarny szlafroczek, czepek tiulowy, a panna Zofia białą suknię, bukiet u boku i zielone liście na głowie, zaczęłam więc wołać:

— Nie chcę, żeby panna Zofia była moja Mamą! to nie Mama!

I tak krzyczałam,⁹⁾ że Tata musiał zawołać bony; wiem że ją łajał i kazał mnie zanieść do mego pokoju, mówiąc,¹⁰⁾ że bardzo niegrzeczna.

Kilka dni tak zeszło; były cukierki, ciasta, goście, a ja zawsze byłam niegrzeczna dla panny Zofii; ilem razy na nią patrzała, tyle razy myślałam sobie:

— Jak ten Tata może mówić, że ona jest moją Mamą, kiedy ona nie do Mamy niepodobna.

Ile razy Tata zobaczył, że jestem niegrzeczna dla panny Zofii, zawsze mnie łajał i przypominał, że mu powiedziałam, że ją kocham. Panna Zofia zaś mówiła:

— Nie gniewaj się na Józeczkę; proszę cię, zobaczysz że my się pokochamy.

Jednego dnia, pamiętam, byłam nadzwyczaj niegrzeczna, nie chciałam odpowiedzieć ani słowa pannie Zofii, Tatko też rozgniewał się nie żartem, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi z takim trzaskiem, że się aż okna zatrzęsły. Przeleżałam się niesłychanie; zostawszy sama z panną Zofią, spojrzałam się na nią z boku, bom była pewna, że i ona gniewa się bardzo na mnie. Ale ona owszem uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

— Chodź do mnie Józeczko!

Przyszłam do niej.

— Nie trwóż się—powiedziała—Tata się da przeprosić, tylko bądź dla mnie grzeczniejsza; ja nie chcę, żebyś mnie zaraz tak kochała jak Mamę, ja wiem, że to być nie

może, ale przecież kochaj mnie choć troszeczkę, bo ja cię bardzo kocham; i powiedz mi, dlaczegoś patrzyła przez tę dziurkę od klucza, kiedy mnie Tata tu przywiózł, i dlaczegoś tak płakała, zobaczywszy mnie?

— Bo tam jest pokój mojej Mamy, — odpowiedziałam płacząc — i ja tam widziałam Mamę słabą i bladą.

Panna Zofia się rozplakała, gdym ja wymówiła te słowa; mnie tak było przykro, że ona płacze z mojej przyczyny, żem zapomniała o wszystkim; wskoczyłam na sofę, na której ona siedziała, usiadłam na jej kolanach; objęłam jej szyję rękami i powiedziałam:

— Niech panna Zofia nie płacze, ja już będę grzeczna, już nie będę patrzyła przez dziurkę od klucza.

Wtenczas panna Zofia uściskała mnie serdecznie i powiedziała, że mnie zaprowadzi do mamy pokoju. Wstawszy, zadzwoniła na szafarkę i prosiła ją o klucz. Szafarka naprzód wzbraniała się dać go, ale nareszcie przyniosła. Panna Zofia wzięła mnie za rękę i poszliśmy do tego pokoju, w którym od tak dawna być chciałam. O! jak-

żem była szczęśliwa, żem się do niego dostała! Pokazywałam pannie Zofii wszystkie rzeczy, które Mama najlepiej lubiła, a ona wypytywała się mnie o śmierć i chorobę Mamy? Opowiedziała mi potem, że była wychowaną prawie z Mamą, że się tak kochały jak siostry; ale panna Zofia była właśnie gdzieś daleko, kiedy Mama umarła; powiedziała mi także, że jeśli będę grzeczną, to będzie przychodziła codzien ze mną do tego pokoju i będzie mi opowiadać różne rzeczy o Mamie i o sobie, o tem jak się razem chowały i uczyły.

Gdy Tata wrócił do nas, panna Zofia trzymała mnie za rękę i chodziła ze mną po ogrodzie, a ja jej pokazywałam kwiaty Mamy i mówiłam, że jeszcze piękniejsze róże kwitły, kiedy Mama żyła. Tata bardzo się zdziwił zastawszy nas w takiej zgodzie.

— Czy to ta niegrzeczna Józia? — powiedział; — cóż się to stało? jakież to cud?

— Nie pytaj się — odpowiedziała panna Zofia z uśmiechem — jak się to stało, dowiedz się tylko, że mnie Józieczka kocha i że będzie nazywać mnie Mamą. Wszak prawda?

— O tak, Mama, zawsze Mama, bo choć panna Zofia nie tak blada i słaba jak Mama, tak dobra jak ona!

To mówiąc, ścisnęłam jej kolana, bo wyżej dostać nie mogłam; ale Tata mnie podniósł; i tak na jego rękach będąc, ścisnęłam pannę Zofię, on mnie i ją całował, ona nas i wszyscyśmy płakali.

Od tego czasu panna Zofia codziennie mnie prowadziła do Mamy pokoju; przynieśliśmy tam wszystkie moje zabawki, a Mama przeznaczyła go na pokój do nauki. Tam moja druga Mama nauczyła mnie czytać i pisać, tam mnie uczy historii Świętej, katechizmu, historii powszechnej. Dawniej umiałam tylko pacierz i abecadło. Tamta Mama mówiła mi zawsze:

— Jak wyzdrowieję, będę cię uczyć.

Ale biedna Mama nie wyzdrowiała i nie przyszło do nauki. Druga Mama zawsze jest zdrowa, raz tylko kilka tygodni chorowała; właśnie wtenczas, kiedy przyjechał z Krakowa maleńki Staś, mój braciszek, który jeszcze i chodzić nie umie; ta Mama codziennie mnie uczy, a ja staram się uważać, bo ile razy się dobrze uczę, tyle razy opo-

wiada mi różne historyjki o sobie i o Mamie, kiedy obydwie małe były; i zawsze w tych historyjkach jest coś takiego, że usłyszawszy je, zdaje mi się, że grzeczniejszą będę. Już i Staś bardzo lubi do tego pokoju chodzić, zawsze na te drzwi paluszką wskazuje, bo tam są wszystkie moje zabawki; dotąd tam się zawsze uczyliśmy i teraz doprawdy, że już nie wiem, którą Mamę lepiej kocham, czy tamtą co umarła, czy tę co żyje? Niktby mi także nie potrafił powiedzieć, która z nich lepsza? pewna jestem, że sam Tata tego nie wie, a jakżebym ja miała wiedzieć?

Tak zakończyła Józia swoją historję; bardzo się podobała trzem paniątkom: prosiły ją, żeby je zaprowadziła jutro rano do tego pokoju i pokazała tę lalkę, te zabawki, co im przyrzekła. Paulina zaś uściskała Józję i powiedziała jej:

— Moja Józyczko, powinnaś codziennie dziękować Bogu, że taki łaskaw na ciebie. Wziąwszy ci jedną dobrą Mamę, dał ci drugą takąż samą. Nie wszystkie dzieci takie

szczęśliwe! czasem i jednej dobrej Mamy nie mają!

Westehnęła na te słowa Marynia, która podczas opowiadania Józii nieraz obcierała sobie oczy; ale Paulina, jakby nie zważając na to, powiedziała jeszcze:

— Na kogoż teraz kolej mówienia przypadnie? kto wyciąga karteczkę? która z was po Anielce najstarsza?

— Podobno ja—zawołała Józia.

— Ciagniże karteczkę! — powiedziała Paulina, podając jej koszyczek.

Józia wzięła jedną i wyciągnęła *Anielki* imię. Śmiech stąd powstał wielki, że jej się tak wzajemnością wyplaciła; już bowiem dziewczynki poznały się daleko lepiej z sobą i zaczęły być poufalszemi. Anielka też ośmielona, nie myśląc długo, tak mówiła:

HISTORIA ANIELKI.

POWIEŚĆ DRUGA.

Dawno już, niezmiernie dawno, Tata i Mama odwieźli mnie do wujaszka i do wu-

jenki, którzy mieszkają na wsi daleko od Warszawy. Nie wiem z jakiej przyczyny mnie tam odwieźli; nie przyszło mi nigdy do głowy, że będę kiedyś opowiadać historię mego życia i nie wypytałam się dobrze; zdaje mi się jak przez sen, że pojechali na rok do Paryża. To jednak bardzo dobrze pamiętam, że jadąc do wujaszka i do wujenki, ucieszyłam się niezmiernie, że będę mieszkać na wsi, bawić się cały dzień w ogrodzie z małemi kuzynkami, a wiedziałam że ich mam trzy: Dosię, Franusię i Kasię; ale gdy Tata z Mamą odjechali, kiedy nadeszła zimna jesień, poznałam, że weselej w Warszawie niż na wsi i że daleko lepiej być u Taty i u Mamy niż u wujaszka i u wujenki. Moje kuzynki zapewne teraz się poprawiły, bo to już dawno jak od nich odjechałam, już dwa lata! ale wtenczas lubiły trochę często się sprzeczać; ja w domu rzadko kiedy z dziećmi się bawiłam: miałam siostrzyczkę i braciszka ale poumierali, nie wiedziałam więc jak bawić się z kuzynkami; sprzeczałyśmy się też często, a za każdym razem mówiły do mnie:

— Cicho bądź Anielko, bo pójdziemy i powiemy Mamie!

Kiedy która z nich tak powiedziała, ja zaraz w płacz, bom nie miała tam swojej Mamy, do którejbym mogła pójść i uzalić się. Wujenka zawsze mi mówiła, że mam winna ustępować Kasi, bo młodsza, a nie sprzeczać się z Dosią i Franusią, bo starsze.

Wszystkie zabawki w całym domu były własnością moich kuzynek; duże lalki należały do Dosi i do Franusi, a małe do Kasi; jeżeli przypadkiem dotknęłam się której i zepsułam trochę, wszystkie razem na mnie krzyczały. Nic nie miałam swego, prócz prześlicznej książki z obrazkami, którą z Warszawy przywiozłam; jednego dnia Kasia chciała się nią bawić, ja nie chciałam jej dać i tak dobrze ciągnęłyśmy obie: ona na swoją stronę, ja na moją, żeśmy książkę rozzerwały; każda z nas kilka kartek trzymając w rękach, upadła wznak na ziemię. Jam się mocniej stłukła od Kasi, ale wujenka więcej mnie łajala; wujaszek zaś widząc, że ja się aż zanoszę od płaczu i tak bardzo mojej książki żałuję, obiecał mi kupić taką samą. Wujaszek często wyjeżdżał z domu;

ile razy przyjechał, obstępowały go dzieci, a on zawsze wołał:

— Zgadnijcie co mam w kieszeni!

Ja stojąc z daleka mówiłam sobie zawsze:

— Może wujaszek przywiózł mi książkę? ale nigdy nie zgadła, musiał zapomnieć; przywoził on i mnie zawsze coś maleńkiego: to piłkę, to konika, to pieska, ale kuzynkom daleko piękniejsze zabawki.

Jednak po każdym przyjeździe wujaszka, moje kuzynki w lepszym były humorze; kiedy ja pozwalałam się im bawić memi zabawkami, to i one mówiły:

— Możesz i nasze wziąć.

Ja brałam; ale jak tylko trochę się pobawiłam, zaraz wołały:

— Oddaj-no! oddaj! to nie twoje, to moje!

Jeśli oddać nie chciałam, skarżyły się przed wujenką, a ona na mnie gniewała się.

Tak minął czas długi, nie wiem doprawdy ile miesięcy, ale bardzo wiele. Była zima, potem lato, potem znowu zima, a Taty ani Mamy nie było widać. Gdy kuzynki klóciły się ze mną, a wujenka gniewała się na mnie, gdy wujaszek przyjechał, a nie przy-

wiół mi książki, gdy służący na mnie burczeli, zawsze sobie myślałam:

— O mój Boże! czy też nigdy Tata z Mamą nie przyjedzie?

O! bo i służący prawie najwięcej mi dokuczali.

— Mało mają dzieci Państwo — mówiła panna służąca — jeszcze dla obcego dziecka prać i szyć trzeba!

Zawszem płakała, słysząc te słowa, a słyszałam je codzień, nie tylko od panny, ale od wszystkich. Ale nareszcie skończyły się przecie te długie i smutne miesiące; jednego dnia słyszę trąbkę, trzask z bicza, zajeżdża kocz przed dom i wysiada z niego jakiś pan niepiękny, ale młody i przyjemny. Wujaszek z wujenką wychodzą naprzeciw niego, ściskają go, a on się pyta:

— Gdzie Anielka? gdzie Anielka? czy zdrowa?

Jam się schowała za Dosię, bo właśnie tego dnia miałam brudną sukienkę, a panna nie chciała mi włożyć innej; mówiąc:

— To nic nie szkodzi, to sobota! ale ten pan mnie znalazł, wziął mnie na ręce i nieźmiernie mnie całował.

To był Tata, a ja go nie poznałam, bo przyjechał bez Mamy i nie karetą. Ale jak mi tylko powiedział, że jest Tata, zaraz go poznałam; pytałam się o Mamę; powiedział mi, że została w Warszawie, ale że dziś jeszcze pojedziemy do niej. Dopieroż byłam szczęśliwa! — Zaraz po obiedzie kocz Taty zajeżdżał, wujaszek i wujenka bardzo prosili, żeby choć na noc został, ale on nie chciał, bo się śpieszył do Mamy. Ach! jakaż to była przyjemna droga, chociaż dosyć było zimno.

Tata zupełnie się tak pieścił ze mną jak wujenka z Kasią, wciąż mnie otulał, często pytał się czy mi nie zimno? tyle miał różnych przysmaczków! Służący Taty tak mi chętnie usługiwał; lokaj zawsze na ręku z kocza mnie wynosił i mówił na mnie do stangreta: to nasza kochana panienska!

A cóż dopiero jakeśmy wjechali do Warszawy! Już było zupełnie ciemno, ale po halasie i bruku, domyśliliśmy się żeśmy w mieście. Zobaczyłam też przed sobą cały rząd wielkich latarni; wisiały jak gdyby na powietrzu, a takie jasne, że ledwie patrzeć na nie można było. Bawiły mnie bardzo i prawie żałowałam kiedy się kocz

zatrzymał przed pięknym domem; ale wnet zapomniałam o latarniach, bo mnie Tata wziął na ręce, a biegnąc prędko po schodach, zaniósł do pokoju, skąd właśnie wybiegła jakaś prześliczna pani. To była Mama. Tata jej powiedział:

— Przywożę ci zdrową Anielkę!

O! jak mnie też ścisnęła! jak mi się przypatrywała! Niedługo potem dano herbatę; mnie Mama najpierw naleła; nigdy tak dobrej herbaty nie piła i takich wybornych nie jadłam ciasteczek. Mama była prześlicznie ubrana; jeszcze piękniej niż dzisiaj i taka wysoka, poważna. Patrząc na nią myślałam sobie:

— Nie tylko moje kuzynki mają Mamę, mam i ja swoją, a jeszcze jaką!

Tata mnie spytał wtenczas:

— O czem myślisz, Anielko?

Ja mu powiedziałam.

— A ja czym ci się spodobał tak jak Mama?—zapytał się:

Nie mogłam tego przyznać, bo tak nie było, ale powiedziałam: Tatko jest ładniejszy trochę od wujaszka.

— Bodajże cię—odpowiedział—jam zawsze myślał, żeś bardzo piękny!

— Już co to, to nie prawda!—zawołałam śmiejąc się i tak dobrze się roześmiałam, że wylałam herbatę; ale Mama i Tata mnie nie lajali, bo się sami serdecznie śmieli.

Nazajutrz rano Tata miał interes w sądzie i pojechaliśmy razem na miasto. Panna służąca Mamy włożyła mi śliczną salopkę ciemną, z różowym kapturkiem, kapelusik słomiany nowiuteńki i tak mnie całowała i w ręce i w buzię, bo ona jeszcze była u Mamy, nim ja się urodziłam. Tata poszedł gdzie miał iść, a my wysiedliśmy naprzeciwko pod filarami.

Co tam sklepów! co tam pięknych rzeczy! aż mnie oczy bolały! Pytałam się czy to wszystko Mamy? ale Mama powiedziała że nie. Poszliśmy trochę dalej, znowu do takiego sklepu, gdzie same książki były; ja się ucieszyłam, bo była pewna, że tam są takie, jak owa moja podarta; powiedziałam o tem Mamie i Mama mi taką samą kupiła. Nadszedł tam i Tata, wybierał różne książki a ja czytałam głośno na swojej. Tata powiedział mi, że bardzo dobrze czytam, a ja

zapomniałam powiedzieć, że wujenka co dzień miewała ze mną lekcję. Potem wsiedliśmy do karety i pojechaliśmy na inną ulicę.

Tata kazał stanąć przed sklepem Zabawek dzieciennych. O! nigdy nie zapomnę tego sklepu! Co też tam zabawek! a Tata kazał mi wybierać, co tylko mi się podoba. Byłabym chciała cały sklep wybrać; nie mogłam się namyślić i prosiłam Taty i Mamy, żeby mi sami wybrali. Kupili mi wielką lalkę, prawie tyłą jak ja, całe miasto z domami, z kościołami, z drzewami, śliczny teatrzyk malowany i woziwodę z beczką, z wozem i z koniem; sama zaniósłam te zabawki do karety, Paweł lokaj poustawiał je na ziemi, a ja wsiadłam w tyle między Tata i Mamą i oka nie spuściłam z moich zabawek. Za każdym stuknięciem karety krzyczałam; bojąc się, żeby się nie popsuły. Ale szczęśliwie dojechały do domu, i ja nie wiedziałam, co robić z wielkiej radości; bo miałam przecie rzeczy, które do mnie samej należały i nikt mi ich nie zabierał, jednak żałowałam, że moje kuzynki choć z daleka widzieć tego nie mogły.

Po obiedzie przyjechała jakaś pani z córeczką Ewunią; ja jej pokazałam moje zabawki; ale gdy lalkę zaczęła rozbierać i ubierać, wyrwałam jej, mówiąc:

— Oddaj, to nie twoje, to moje!

Ewunia złapała lalkę za nogi, ja znowu jej wyrwałam:

— Oddaj no, oddaj! ja mam teraz swoją Mamę, nie pozwolę ci się tak bawić lalką, bo to lalka moja!

Mama usłyszawszy to, przybiegła z drugiego pokoju i zaczęła mnie strofować.

— A!—powiedziałam jej—moje kuzynki zupełnie tak ze mną robiły; jam nie mogła tego z nimi robić, bo tam nie miałam ani Mamy ani Taty, ale tu...

— A czy ci to było przyjemnie? — spytała się Mama.

— O! bardzo niemiło!—odpowiedziałam.

— Czy nie wiesz o tem: *Nie czyni drugiemu co tobie niemiło!*—powiedziała jeszcze Mama.

Poznałam wtenczas, że źle sobie postąpiłam i zaczęłam Mamę przeproszać i obiecywać, że nigdy nie będę.

— Widzisz—mówiła jeszcze Mama—oto matka Ewuni chciała i ciebie i mnie zabrać

z sobą do teatru, ale nie wiem czy zechce, żeby jej córka wdawała się z taką niegrzeczną dziewczynką.

Ja się rozplakałam, bom jeszcze nigdy w życiu w teatrze nie była, ale Mama Ewuni powiedziała:

— Ja wiem, że Anielka już nigdy tak nie zrobi, pozwól niech jedzie z nami do teatru, ona się poprawi!

O, jakżem pokochała tę Mamę Ewuni! Pojechaliśmy; w drodze cały czas Mama z nią o tem mówiła, że niedobrze od dzieci odjeżdżać, że się bardzo psują, że choćby u najlepszych osób były zostawione, przecież zawsze się tego żałuje, a nakoniec powiedziała:

— Już nigdy bez koniecznej potrzeby Anielki nie odjadę!

Usłyszawszy te słowa, zaczęłam bardzo Mamę całować, karetę stanęła i uderzyłam się w brodę; ale nie zważałam na to, bo mnie Mama uściskała i widziałam, że się na mnie nie gniewa. Karetę zatrzymała się przed jakimś domem, a Mama powiedziała: „Otóż i teatr.” Stał rząd powozów na boku, a niedaleko kilku żołnierzy przy koniach;

weszliśmy do dużej sieni, w której było okienko, przy którym ludzie kupowali bilety. Ewunia mnie spytała:

— Będiesz mnie kochać Anielko?

— O, będę! — odpowiedziałam i wzięłyśmy się za ręce.

Idąc tu za Mamą, weszłyśmy na schody, a potem na jakiś kurytarz; wybiegł człowiek w liberyi i zaprowadził nas do małego pokoju z dużym oknem. Tam nie było prócz czterech krzeseł. Ewunia mi powiedziała, że się to zowie *loża*; gdyśmy stanęły w tym oknie, na stołeczkach, żeby nam lepiej było, zobaczyłam wielką salę i bardzo wielu ludzi w ścianach; najwięcej ich było pod samym sufitem, osobliwie też Żydów; bałam się, żeby który nie spadł, bo tak się pchali jeden na drugiego; im niżej tem mniej było osób, a cała sala była malowana, złocona, w karmazynowe franki ubrana. W środku zaś sali wisiał ogromny żyrandol, tak jasny, że zmrużać oczy musiałam. Jeszcze sztuka nie była zaczęta; Mama Ewuni umyślnie nas wcześniej przywiozła, żebym miała czas przypatrzeć się wszystkiemu. Niedługo po naszym przyjeździe, muzyka

umieszczona na dole, zaczęła grać bardzo pięknie; ja się spytałam Ewuni:

— Czy to sztuka zaczęła się?

Ona rozśmiała się ze mnie, bo już trzeci raz była w teatrze; powiedziała mi, że się sztuka rozpocznie gdy *kortynę* podniosą. Ja ją się spytałam:

— Co to kortyna?

A ona pokazała mi wielką firankę, prześlicznie malowaną i powiedziała: że za taką firanką jest scena, na której aktorowie grają sztukę. Ach! jak też wyglądałam tej chwili kiedy tę kortynę podniosą; ale nie nudziłam się wcale czekając, bo coraz więcej osób przybywało. Mama mi powiedziała, że te osoby nie siedzą w ścianach, tylko w takich pokoikach jak nasz. Koło nas i zaraz nad nami same prawie kobiety siedziały, pięknie poubierane w kwiaty, w pióra, widziałam i dzieci kilkoro; w samej zaś sali na dole, daleko więcej mężczyzn niż kobiet, ale ci mężczyźni wszyscy tyłem się obracali do kortyny i wokoło patrzyli, niektórzy nawet przez szkła a wszyscy z odkrytą głową. Jak kortynę podnieśli, zapewne się musieli obrócić, ale już tego nie widziałam, bom

wtenczas nie patrzała na nikogo, tylko na scenę.

Ach! jak też to było ślicznie! Sztuka, jak mi Mama potem powiedziała, była dramą: tak smutną, że serdecznie płakałam. Były to *Machabeusze*, historia prawdziwa o Żydach z Biblii wyjęta. Jacy żydzi dawniej byli! wcale nie tacy jak teraz. Jak też pięknie grała matka Machabeuszów; trudno mi dotąd wierzyć, że ona tylko udawała; można było przysiąc, że to jej synowie; gdyby kto Mamie chciał mnie wziąć i zabić, pewnieby Mama bardziej nie rozpaczała. A jaka przytem piękna! jaka wspaniała! jaki głos miły! Nigdy nie zapomnę jej nazwiska; na teatrze zwała się *Salomona*, a za teatrem i prawdziwie pani *Ledóchowska*. Mama mówiła że i w Paryżu lepszej niema aktorki. A kiedy na końcu i ją i jej synów widać jak po śmierci do Boga, do nieba idą, to tak pięknie, tak ślicznie, że się aż coś dziwnego dzieje. Szkoda tylko że to krótko trwa; ledwie się pokaże niebo, już ci go ta brzydka kortyna zasłania; o! szkaradna mi się wtenczas wydawała!

Od tego czasu już nie byłam na teatrze, bo w kilka dni pojechaliśmy na wieś. Kiedy już tak wszystko mówię, muszę powiedzieć, że przez jakiś czas, Mama miała wiele biedy ze mną i często mnie musiała łąjać, nawet dwa razy różgą ukarać, ale już teraz jestem grzeczną i bardzo mi jest dobrze.

Niezmiernie się podobała wszystkim historya Anielki, osobliwie też opis teatru; żadna z przytomnych panienek, prócz Joasi, nie była jeszcze w teatrze; umyśliły prosić Rodziców, żeby ich kiedy zawieźli do Warszawy. Joasia zaś przyznała, że opis Anielki był zupełnie prawdziwy, i zaczęła także o teatrze opowiadać; ale Józia powiedziała:

— Wiecie co? jutro Joasia opowie nam sztuki, na których była, a dziś już wysłuchajmy swoich historyi.

— A na kogo teraz kolej ciągnięcia przypada? — spytała się Paulina, którą bardzo te powieści zajmowały.

— Na mnie — powiedziała Joasia.

— Ciągnijże Joasiu! — dodała Paulina podając jej koszyczek.

Joasia wyciągnęła własne swoje imię. Wszysey w śmiech, ale Joasia się zatrwożyła.

— Co ja też powiem! nieszczęśliwa!

— Mów co chcesz i co wiesz! — powiedziała jej Paulina.

— A od czego tu zacząć?

— Powiedz nam ile masz lat, ilu braci i sióstr, jakie miewasz Imieniny? czy masz babunię albo dziadunia?

— O! to już wiem! — powiedziała Joasia klasnąwszy w ręce i tak mówiła:

HISTORIA JOASI.

POWIEŚĆ TRZECIA.

Ja za trzy miesiące skończę siódmy rok. Mam dwóch braci i siostrę, ale ja najmłodsza. Moje imieniny są razem z urodzinami, w maju na świętą Joannę. Pierwsze które pamiętam były te, kiedym cztery lata skończyła. Jakem się tego dnia obudziła, jeszcze

w koszulce biegalam do Mamy do łózka i wołalam:

— Mamo! to moje Imieniny!

— Mama wstała, uściskała mnie, darowała mi śliczną sukienkę niebieską w paski i powiedziała:

— Ty nie nie wiesz, Joasiu, Babunia przysłała wczoraj konie i bryczkę, i pojedziemy do niej i do Saluni wszystkie: i Tata i bracia.

A Babunia mieszkała o dwie mile od Warszawy w wiosce, którą trzymała w dzierżawie; tam już od Miesiąca była moja siostra Salunia, ale ja jeszcze nigdy tam nie byłam. Wtenczas jeszcze ani razu nie wyjechałam z Warszawy, nie pamiętam nawet, żebym jaki ogród widziała; piastunka chodziła ze mną na rynek Starego Miasta, tam mnie wzięła w wózek, i nie nie znałam piękniejszego od Rynku i od tych topoli, które wkoło niego rosna; a mieszkaliśmy przy Piwnej ulicy.

Kiedym się więc dowiedziała, że pojedę na wieś, do Babuni, do Saluni, zaczęłam biegać po całym domu, wpadłam do Taty pokoju, gdzie kilku było chorych, pobiegłam

do braci, do kucharki, do młodszej, nawet na dół do kobiety, która tam z bułkami siedziała i tak się umęczyłam tem bieganiem, że jakieśmy wsiedli wszyscy do bryczki, usnęłam na kolanach Mamy. Kiedym się obudziła, spojrzałam na obie strony i nie zobaczyłam już ani domów, ani kamienie, tylko samą zieloność a ta zieloność była okryta różnymi kwiatkami, gdzieniegdzie były same żółte kwiatki i tam pasły się krowy i baranki. Wtenczas skakałam na Mamy kolanach i mówiłam:

— O, patrzcie! patrzcie! jaka trawa, jakie kwiatki, jakie krowy, jakie baranki! Ach! jakaż ta wieś śliczna!

Zdawało mi się z razu, że drzewa, płoty, domy i cała ziemia tańcują czy ucieka, bo wszystkie te rzeczy jakby uciekały za naszą bryczkę, a inne znowu się pokazywały. Bracia się ze mnie śmieli i tak się działo do samej wsi Babuni. Babunia z Salunią stały w wystawie przed domem, gdyśmy zajechali; domek był niski, drewniany, ale mi się podobał; Babunia wzięła mnie na ręce i całując wieszowała mi imienin; Salunia mi także wieszowała i darowała mi lalkę. Bra-

cia poszli nie wiem gdzie, a mnie Salunia zaczęła wszędzie oprowadzać. Już wszystko poznała. Zaprowadziła mnie na dziedziniec folwarczny, do stodoły. Tam dwóch ludzi ciężko pracowało; zboże leżało na ziemi, a oni go bili kijami i taki był hałas, że aż uciekłam. Salunia śmiała się ze mnie i objaśniła mi: że ci ludzie młóca żyto na chleb, a te kije zowią się cepy. Niedaleko stodoły była maleńka sadzaweczka, tam pływało bardzo wiele małych kaczek i gęsi, żółte jak kanarki warszawskie. A po całym dziedzińcu chodziły kury, szukając pożywienia w trawie i w słomie, a z niemi prześliczne, żółciuteńkie kurczątka, które także dzióbkami jeść szukały. Były tam i małe kaczęta, które wodziła kura. Te poszły do sadzawki i zaczęły pływać; jak też ta biedna kura była niespokojna, jak gdała; jak widać było że jej przykro i dziwno, że jej dzieci pływają, a ona nie może. Salunia mi powiedziała, że kura nie uchodzi za bardzo zmyślną. Obszedłszy tak folwark, poszliśmy do sadu; jaki Babunia ma sad prześliczny! Jeszcze kwitły niektóre drzewa a w trawie co było kwiatków! Salunia rzekła do



ci ludzie młóca żyto na chleb,

innie: Możesz rwać które ci się podobają. Mnie się wszystkie podobały; zaczęłam więc rwać obu rękami; gdym już w ręku pomieścić nie mogła, kładłam w sukienkę i z tymi wszystkimi kwiatkami pobiegłam do Taty i Mamy: biegnąc prędko, zawadziłam się w progu i upadłam; zaczęłam płakać, ale zobaczywszy na stole chleb świeży, młode masło żółciuteńkie, rzodkiewki, gruszki, śliwki suszone, wnet mi się płaczu odechciało. Babunia dała mi tych wszystkich dobrych rzeczy; nasyciwszy się, poszłam z Salunią do warzywnego ogrodu. Salunia mi opowiadała, jak się zowie to wszystko, co tam na zagonach rośnie; kapusta, brukiew, buraki, marchew, pietruszka, groch, a nawet kartofle; ja jej żadnym sposobem wierzyć nie chciałam, bo te wszystkie rzeczy nie a nie podobne nie były do tych jarzyn i warzyw, które ja w Warszawie na półmiskach i w rosole widywałam; ale Salunia się zakłęła, że jak Mamę i Tatę kocha, tak prawdę mówi: ja jej wtenczas uwierzyłam, bo już niema u nas większego zakłęcia nad te słowa. Na końcu tego warzywnego ogrodu była znowu sadzawka, w około

niej między wierzbami wiele pniów drewnianych z daszkami; jakieś robaczki latały koło tych pniów; Salunia mi powiedziała, że te pnie zowią się ule, te robaczki pszczoły i że tu one w tych domkach robią ten słodki miód, i ten воск, z którego stoczków i świec tyle. Ja się bardzo ucieszyłam, że poznałam pszczołę i spytałam się Salunię, czy są między niemi szerszenie? Ona mi powiedziała:

— Są, latają koło ulów: chciałyby miód wyjeść, a nie zrobiły go.

— A to tak, jak w tej bajce Krasiekiego! — zawołałam na to.

— W jakiej — spytała się Salunia.

— A w tej! — i tak mówiłam:

PSZCZOŁA I SZERSZEŃ.

Idź precz od nas próżniaku, nie godzien żywienia,
Mówiła żądłem grożąc pszczoła do szerszenia.
Prawdę mówisz, rzekł szerszeń i mnie to obchodzi:
Ale żeś pracowitsza, czyż się lajać godzi?
Jestem w nędzy, lepiej się nade mną użalić.
Niżeli żądłem straszyć i samej się chwalić.

Kiedy mówiłam Saluni tę ładną bajkę, jak teraz bez żadnej omyłki, przeleciała mi

pszczoła koło nosa; chciałam ją złapać, ale Salunia mnie ostrzegła, że pszczoła tem żądłem, którem szerszenia straszy i ludzi dotkliwie kole. Nie łapałam więc już pszczoły, wołałam gonić za motylami, których było mnóstwo; a najwięcej białych, ale żadnego nie mogłam złapać; jak tylko przybiegłam do którego, on jeszcze prędzej uciekał. O tym pierwszym dniu mego pobytu na wsi, już niewiele pamiętam; wiem tylko że przy obiedzie Babunia i wszyscy pili moje zdrowie, że na podwieczorek jadłam kwaśną śmietaną z razowym chlebem i że widziałam pierwszy raz w życiu, jak krowy doją. Kolacyi nie jadłam tego dnia, bo przyszedłszy od krów, usnęłam na kanapie i zapewne wtenczas, Hanka, służąca Babuni, musiała mnie wziąć, rozebrać i położyć.

Gdy się obudziłam nazajutrz, już było dosyć późno, przyszła do mnie Salunia, pytałam ją się o Mamę: powiedziała mi, że Tata, Mama i bracia pojechali raniuteńko do Warszawy a mnie z nią u Babuni zostawili, żebyśmy zdrowe były. Zaczęłam płakać; ale Babunia nadeszła, powiedziała mi, że Mama z Tatą będą często przyjeżdżać, darowała

mi koszyczek i powiedziała, żebym poszła z Salunią do ogrodu po kwiatki; poszłam i jeszcze koszyczek nie był pełny, kiedy już zapomniałam o moim smutku; bo też wtenczas niezmiernie dziecinną byłam jeszcze.

Te kilka tygodni, które u Babuni na wsi spędziłam, jeszcze mi dotąd stoją w pamięci. Mama z Tata, co sobota przyjeżdżali, a raniuteńko w poniedziałek wracali do Warszawy; dwa razy i braciszków z sobą przywieźli. Za każdym przyjazdem swoim Tata mówił:

— Niema, jak wieś dla dzieci! Świeże powietrze lepsze od wszystkich lekarstw. Patrz żono, jak nasze dziewczątka teraz wyglądają, jak różyczki!

I dziękował Babuni, że nam tak dobrze u niej. O, prawda! było nam bardzo przyjemnie u Babuni, chociaż czasem nas polajała, ale rzadko kiedy, bo obie, z Salunią starałyśmy się być bardzo grzeczne, robić pięknie robotę i uczyć się dobrze. Jak tylko Mama z Tata przyjechali, prawie pierwsze słowa ich były:

— A grzeczna Salunia i Joasia?

Jeżeli Babunia odpowiadała: „Grzeczne, bardzo grzeczne!” to nas Tata z Mamą ścisłali, całowali. Jakże tu nie było się starać być grzeczną? Raz tylko Babunia musiała odpowiedzieć: *Niegrzeczne*. I takeśmy płakały, tak nam to było przykro, że pierwszy i ostatni raz Tata i Mama tak złą nowinę usłyszeli przyjechawszy.

Babunia miała bardzo wiele kur i nieraz Hanka pozwoliła mnie i Saluni szukać jaj kurzych; bo kury choć nie bardzo zmyślne, bardzo są pożyteczne; prawie codzień jajka znoszą; nigdyby ze wszystkich wysiedzieć kureząt nie mogły i bardzo dobrze to Bóg urządził, bo z czegoż byłyby jajecznice, naleśniki, ciasta i inne dobre rzeczy, do których jaja koniecznie są potrzebne?

Jakie też to było dla nas szczęście, kiedy w drwalni, gdzie najczęściej kury siadywały, na drzewie, w wiórach, która z nas znalazła jajko. Ja raz aż siedem Babuni w fartuszkę przyniosłam. Babunia za to darowała mi kure; nigdy jej nie zapomnę. Była czarna, z czerwonym grzebieniem, oczki miała jak paciorki, co drugi dzień, czasem codzień zносиła mi jajko; ale spotkało mię nieszczę-

ście przytłukł ją stróż drzewem i zdechła. Jakem też płakała! Widziałam, że w Warszawie, kiedy kto komu umarł, on kładł żałobę; ja też po śmierci mojej kury, włożyłam czarną wstążeczkę; ale ponieważ kura to zwierzę, nie ma duszy, nosiłam ją tylko na uchu i to przez trzy dni.

Nieraz chodziliśmy z Babunią do piwnicy, tam stały dzieżki z mlekiem; Babunia zbierała z nich śmietaną dużą łyżką a mnie i Saluni zawsze choć trochę dała skosztować. Masło codziennie Hanka robiła; a my codziennie piłyśmy maślankę.

Niedługo też zaczęły dojrzewać truskawki; porzeczki w ogrodzie. Baby, dziady i dzieci ze wsi, zaczęły znosić poziomki; pamiętam, raz za starą wstążkę, jedna dziewczynka dała mi garnuszek jagód; właśnie to było w sobotę; Tata z Mamą mieli przyjechać: nie zjadłam ani jednej jagódki, ale dla nich schowałam.

Pamiętam także tego dnia miałam i zmartwienie. Babunia kazała skosić trawę w ogrodzie, jaskry, ostróżki, i wszystkie te kwiatki żółte, niebieskie, śliczne stokrotki, padły pod kosą i powiędły. Ale za to Babunia

nazajutrz pozwoliła nam przetrząsać skoszoną trawę: była też to ostatnia nasza zabawa, bo już tego poniedziałku Tata z Mamą zabrali i mnie i Salunię z sobą. Żal mi było bardzo odjeżdżać od Babuni, od krów, od kur i mleka, ale się znowu cieszyła, że zobaczę braci i nowe pomieszkanie; bo Tata z Mamą wyprowadzili się przez ten czas z Piwnej ulicy i najęli sobie domek z ogródkiem w Alejach. Ten ogródek nie był taki duży jak u Babuni, ale przecież i tam są drzewa, trawa i kwiatki. Jeździliśmy też dosyć często do Babuni i jeździmy dotąd w lecie; w zimie Babunia do nas przyjeżdża i teraz właśnie jest u nas, a ja tu przyjechałam; bo mnie Tata już dawno mówił, że tu jest bardzo grzeczna panienska Józia, niewiele ode mnie starsza i że jeżeli będę grzeczna, przywiezie mnie do niej; ja byłam grzeczna i Tata mnie przywiózł.

Chociaż w historyi Joasi, nie było żadnego szczególnego wypadku, bardzo zabawiła wszystkich, nawet i Paulinę; sposób noszenia żałoby po kurze, rośmieszył wszystkie

panienki, że jedna z nich, *Marynia*, nie powiedziała jeszcze swojej historii. Już i ciągnąć kartki nie było potrzeba, bo na nią kolej mówienia przypadała. Marynia jednak namyślała się długo i dopiero na usilne prośby trzech dziewczynek i Pauliny, tak mówiła:

HISTORIA MARYNI.

POWIEŚĆ CZWARTA.

Ja się nie śpieszę z moją historią, bo ja nie taka szczęśliwa jak wy, moje panienki; jednej z nich umarła jedna Mama, ale znalazła drugą; drugim nie umarła i mają; a mnie umarła i nie mam. Ja nawet nie a nie mojej Mamy nie pamiętam i dopiero rok minął jakem się dowiedziała, że nie mieć Mamy jest wielkiem nieszczęściem. Mój Tata zawsze mieszkał i mieszka na wsi; ja go jeszcze nigdy na jeden dzień nie odstąpiłam, jak zapamiętać mogę. Pierwsze miejsce, w którym Tatę i siebie pamiętam, jest grób Mamy. W naszej wsi jest kościół

i koło niego duży cmentarz; na tym cmentarzu jest piękny grób, osadzony wierzbnami i topolami, a na nim kamień z takim napisem:

*Tu leży Elżbieta Kaniewska
Zgasła w kwiecie wieku
Zostawiła żal nieutulony w sercu Męża
Przykład najlepszy
jedynaczce Córce.*

Ten grób jest grób Mamy, a ten napis — pierwsze słowa, które przeczytać gładko umiałam, bo tam codziennie Tata, czarno ubrany, prowadził mnie, siadał na kamieniu, brał mnie na kolana i laseczką wskazując złote głoski, uczył mnie: to T. to U. to L. i tak dalej. Nie wiem doprawdy jak długo chodziliśmy oboje na ten grób Mamy, ale to wiem, że bardzo lubiłam tam chodzić i że nieraz nawet i sama poszłam; bo Tata nie mieszkał w pałacu, ale kazał sobie wystawić umyślnie mały domek niedaleko kościoła, i tam mieszkaliśmy. Nieraz słyszałam jak ksiądz proboszcz mówił Tacie:

— Szkoda, że nikt w pałacu nie mieszka! ale Tata odpowiadał:

— Jak Marynia urośnie, tam mieszkać będzie, ja nie mogę!...

I pałac stał pustkami; nikt w nim nie mieszkał, a nasz domek i przez połowę nie był tak duży i piękny. Nie było w tym domku ani jednego próżnego pokoju, nikt też z gości nie bywał, a słyszałam nieraz od służących i od księdza proboszcza, że dawniej bardzo wiele ludzi bywało, póki Tata w pałacu mieszkał. Mówili także, że Tata dawniej lubił się bawić. Ale teraz nie chce wiedzieć o żadnych zabawach, tylko siedzi nad książkami i nad papierami i chodzi ze mną na grób Mamy. Jednego wieczora, pamiętam, pierwszy raz przeczytałam cały ten napis i Tata bardzo był kontent; nazajutrz więc raniuteńko wymknęłam się z mego pokoju, od Tekli, mojej piastunki i poszłam na cmentarz. Siadłam na kamieniu: wzięłam kijek i wskazując sobie słowo po słowie, czytałam głośno i wyraźnie cały napis; czytałam go kilka razy, żeby nie zapomnieć, bom nie a nie tych słów nie rozumiała, kiedy usłyszałam jakiś hałas za sobą. Myślałam że to dziad idzie dzwonić na Mszę, albo że Tata po mnie przyszedł; obejrzałam się



O Boże! to grób twojej matki!

jednak i zobaczyłam jakiegoś nieznajomego mężczyznę. Złęklam się trochę; a on mnie się spytał:

— Co tu robisz, moje dziecko?

— Uczę się czytać na grobie Mamy! — odpowiedziałam mu.

— O Boże! to więc prawda—zawołał zalamując ręce—to grób twojej Matki!

To mówiąc tak zbladł i osłabł, że aż się o drzewo oprzeć musiał. Ja się niezmiernie przełęklam i zdziwiłam. Dla mnie grób Mamy nie miał ani smutnego, ani okropnego, owszem, ja tam chodzić lubiłam. Tata tam najwięcej ze mną rozmawiał, czytać mnie uczył, takie mi śliczne rzeczy mówił o Bogu, o drugim życiu, o duszy, o ciele. O co tylko na grobie Mamy go prosiłam, czy dla siebie, czy dla kogo, nie mi nie odmówił. Zadziwił mnie więc niezmiernie przestрах tego pana, a widząc, że wciąż jest blady, pobiegłam do domu; zobaczyłam z daleka powóz czterokonny jadący do pałacu i Tatę wychodzącego naprzeciw. Zaczęłam wołać:

— Tato! Tato! jakiś pan zasłabł na grobie Mamy!

Tata pobiegł ku mnie; wyszedł też i ten pan z cmentarza i zaczęli się z Tata ścisnąć i całować.

— Bracie! kochany bracie! jakie nieszczęście!

Takie tylko słowa słyszałam, a i Tata i ten pan bardzo płakali. Dowiedziałam się wnet, że to był brat Mamy, a mój wujaszek, o którym Tata nieraz z księdzem proboszczem wspominał. On był daleko za granicą i nie wiedział, że Mama umarła; słyszał coś o tem, przyjechawszy do kraju, ale nie wierzył. Zajechał jak dawniej przed pałac, a tam nie zastawszy, zląkł się, kazał powozowi iść pomału, a sam szedł do księdza proboszcza, kiedy mnie spostrzegł na cmentarzu; zobaczył grób Mamy i dopiero z pewnością przekonał się, że umarła. Dowiedziałam się wnet tego wszystkiego, a razem i tego, że śmierć Mamy była wielkim nieszczęściem i że dlatego tak wujaszek zbladł i wraz z Tata tak płakał.

O, płakali długo! Tata opowiadał całą chorobę i śmierć Mamy, Tata tak mnie żałował, nazywał mnie nieszczęśliwą biedną sierotką. Wujaszek i mnie i jego żałował; mó-

wił, że bardzo Tacie smutno być musi tak żyć samemu. Tata mu odpowiedział, że już inaczej żyć nigdy nie myśli, że jego córka Marynia cała jest jego pociechą i innej nie chce; i że kiedy tak Bóg zrządził, on już do śmierci żyć będzie w smutku. Ja tego wszystkiego słuchałam z niezmiernem zdziwieniem i mogę powiedzieć, że od tej chwili coś dziwnego zaczęło się dziać ze mną. Już zaczynałam pojmować, że śmierć Mamy była wielkim nieszczęściem, już nawet na jej grób bez smutku patrzeć nie mogłam, ale jeszcze nie pojmowałam weale, dlaczego o tem nie wiedziałam dotąd? i jakim sposobem ja mała dziewczyna, która nie nie umiałam, mogłam być całą pociechą Taty. Wujaszek mi naprzywoził różnych zabawek i książek, był dla mnie niezmiernie dobry i bardzo mnie kochał i ja go też bardzo pokochałam; zdawało mi się, że go już znam dawnó, umyśliłam sobie wypytać go o to wszystko, co mnie tak dziwiło? Jednego dnia, kiedy Tata zamknął się w swoim pokoju, zaprowadziłam go na grób Mamy i prosiłam, żeby mi to wszystko wytłóma-

czył. Wujaszek odpowiedział mi takie słowa, których nigdy nie zapomnę:

— Byłaś jeszcze bardzo małym dzieckiem, moja Maryniu — mówił — kiedy twoja Mama umarła, nie mogłaś więc czuć tej straty; nie mogłaś także poznać się na tem, że Tata dlatego smutny, boś przy jego smutku urosła; a z czem kto rośnie, tego nie widzi. Tak było ze smutkiem Taty i ze śmiercią twojej Mamy, jak z napisem jej grobu; czytasz gładko słowa, ale nie rozumiesz co znaczą; w nich jednak wielka jest dla ciebie nauka; przekonam cię o tem, tylko słuchaj uważnie co ci powiem. Nie ma dla dziecka, osobliwie dla dziewczynki, większego nie-szczęścia jak stracić Matkę; ty moja Maryniu, w tem przynajmniej szczęśliwą jesteś, że ci Bóg dobrego Ojca zostawił. Powinnaś więc tak jego kochać, jak gdyby on był razem i Mamą i Tata twoim. Póki Mama żyła, on miał żonę którą kochał, która była jego pociechą, teraz jej nie ma, tylko ciebie jedną; ty jesteś całą jego pociechą, jak sam mówi; uważ więc sobie, jak dobrą powinnaś być dla niego: usługuj mu, nadskakuj, a broń Boże! w niczem nie martw; nie bądź

upartą i niegrzeczną, ani próżniakiem i nieudkiem; bo jakżeż on by miał ze złej córki pociechę?

Zrozumiałam zupełnie te słowa wujaszka; umyśliłam sobie słuchać ich we wszystkim, i prosiłam go jeszcze, żeby mi napis grobu Mamy wytłómaczył; bo teraz już wszystko chciałam wiedzieć i rozumieć. Wujaszek i to zrobił i pamiętałam zupełnie jak on raz czytał, drugi raz mówił:

— *Tu leży Elżbieta Kaniewska.* To znaczy: że tu leży ciało twojej Mamy, kiedy ona umarła, to jest: kiedy dusza opuściła ciało, tu jej ciało zamknięte, w drewnianej skrzyni złożyli; zostało tu w ziemi pod tym kamieniem, a dusza poszła daleko do Boga; tam zawsze żyć będzie, tam Tata twój i ty sama, jeśli dobrą będziesz, zobaczysz ją kiedyś. *Zgasła w kwiecie wieku;* to jest: była młoda, świeża, jak te kwiatki w ogródku twoim rosna, kiedy podobało się Bogu zabrać ją od Was. *Zostawiła żal nieutulony w sercu Męża:* to jest: zostawiła w sercu twego Taty smutek, który dopiero wtenczas się skończy, kiedy on sam umrze; a nakoniec, zostawiła *przykład najlepszy jedynaczce córce.* Te sło-

wa najwięcej uważać powinnaś, mogą ci być na całe życie nauką. Mama twoja była łagodna, słodka, pobożna, miłosierna, pracowita, miała wszystkie cnoty potrzebne kobiecie, więc ty będąc jej jedynaczką córka, wszystkie te jej cnoty mieć powinnaś i powtórzyć je za nią w sercu, jak za mną słowa tego napisu powtarzasz. Bo kiedy która córka miała albo ma jeszcze dobrą Mamę, powinna koniecznie starać się być taką samą jak ona i ani Bóg ani ludzie jej nie kochają jeżeli taką nie jest. Pytajże się więc często, moja Maryniu, Taty i mnie, póki tu jestem, jaką była twoja Mama? i staraj się iść za przykładem, który ci zostawiła, to jest być taką jak ona.

Ucałowałam ręce wujaszka, płacząc serdecznie, gdy mi to wszystko powiadał. Niezmiernie się zadziwiłam, że tak wiele było rzeczy w tym krótkim napisie; że ja go dawniej nie rozumiałam, a teraz pojęłam tak wybornie. Wujaszek jeszcze długo u nas bawił i wiele mi mówił o Mamie; między temi książkami, które mi przywiózł, była jedna z abecadłem i z powieściami: wujaszek i Tata naprzemian uczyli mnie na niej

czytać. Już prawie wszystkie głoski znalazłam z grobu Mamy, ale te w książeczce były takie maleńkie; jednak widząc jak Tatę cieszyło kiedy ja się czego nauczyłam, tak się starałam, że nim wujaszek wyjechał, już nie źle na każdej książce czytałam. Po jego wyjeździe Tata mnie zaczął uczyć pisać i rachować; Tekla mnie też już dawno pończoszkę robić i szyć uczyła. Właśnie tu jadąc Tata mi powiedział, że pojedzie do Lublina, po jedną panię nie młodą, która przy nas bawić będzie i nauczy mnie wielu rzeczy. Zawsze ze mną rozmawia: już wiem dosyć z pisma Świętego i z historyi powszechnej; za każdym razem jak wujaszek przyjedzie, zawsze go z jaką nową robotą albo nauką przywitam. Trzy razy u nas był od tego czasu; już teraz nie on mnie, ale ja jemu napis grobu Mamy flómaczę i jak był ostatni raz, powiedział mi, że widzi żem go zupełnie zrozumiała i że go często odczytywać muszę; bo jak on mówi, zanosi się na to, że będę kiedyś zupełnie do Mamy podobną; ja też o tę łaskę codziennie Boga proszę i o tę drugą, żebym mogła być Taty pociechą.

Tak skończyła historję swoją Marynia; Józia, Joasia i Anielka ją uściskały, nawet Paulina, a dziewczynki powiedziały:

— O! zapewne ty nie jesteś taka szczęśliwa jak my, ale za to my cię najlepiej Kochamy!

— Ja poproszę twego Taty—dodała Józia, byś u nas została, jak on pojedzie do Lublina!

— A jak będzie ciepło—zawołały drugie— będziemy prosić naszych Rodziców, żeby nas zawieźli do waszej wsi: pokażesz nam grób twojej Mamy i przeczytamy z tobą ten piękny napis.

— O dobrze! dobrze!—wołała Marynia, ściskając wzajemnie towarzyszeki.

Po tej historyi zupełna poufałość nastąpiła między dziewczynkami. Zadawały sobie tyśiączne zapytania, a najwięcej Maryni. Dano wieczerzę, dziewczątka siedząc przy okrągłym stolczku, więcej rozmawiały niż jadły. Gdy dziesiąta godzina wybiła, z trudnością przyszło nakłonić je do spania. Nazajutrz i innych dni bawiły się wybornie; pan Kaniewski zostawił Marynię na dwa tygodnie u Rodziców Józi; pokochały się bardzo z Józią a Paulina uszczęśliwiona była, że tak się udał jej pomysł.

KONIEC DRUGIEJ KSIĄŻECZKI HELENKI.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Do Helenki.	<i>Stron.</i> 5
---------------------	--------------------

CZĘŚĆ PIERWSZA.

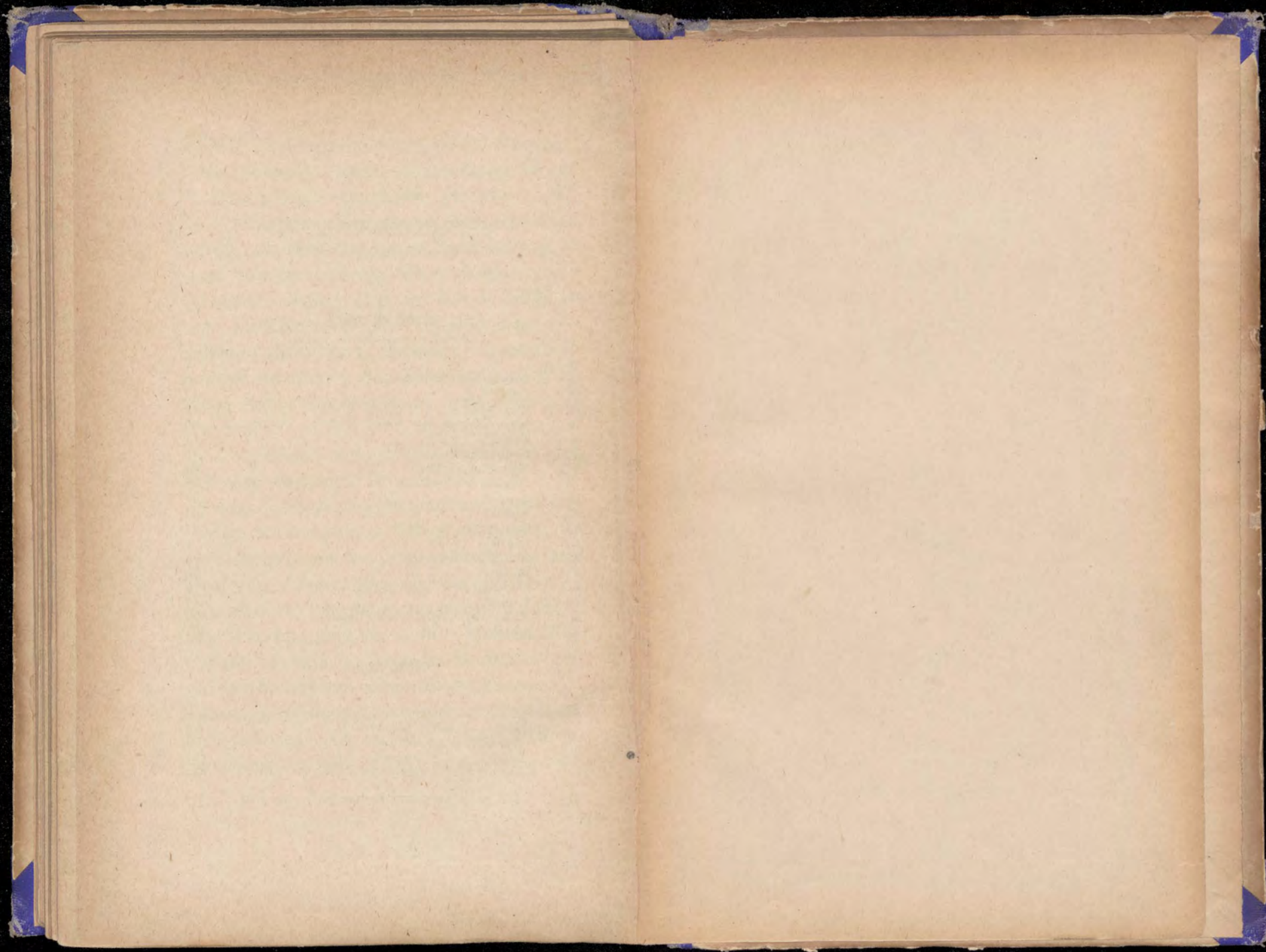
Ośmnaście powieści mniejszych.

Wstęp.	7
I. Dobre dzieci.	8
II. Obiad	11
III. Kanarek	14
IV. Jak to dobrze być dobrą	16
V. Kostuś	21
VI. Posłuszeństwo	28
VII. Nieposłuszeństwo	34
VIII. Książka z obrazkami	38
IX. Smutek	41
X. Anielka	44
XI. Przejazdźka do Bielan	48
XII. Leosia i Teonia	54
XIII. Brat i Siostra	59
XIV. Babunia	65
XV. Placzka	70
XVI. Karolek	74
XVII. Matka najlepiej dzieciom dogodzi	78
XVIII. Szczerość	84

CZĘŚĆ DRUGA.

Cztery powieści większe.

Wstęp.	89
Historja Józi. Powieść pierwsza.	93
„ Anielki. „ druga.	106
„ Joasi. „ trzecia	121
„ Maryni. „ czwarta	132



60 —

086188

18.0876

10695 MKD



KSIAŻECZKA FILENKI

10695 MKD